PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI XVIII, XIX i XX.



Roznosicielka wody.

TOM IV

obejmujący
zeszyty 19—24

CENA zł. 3.

WARSZAWA
SKŁAD GŁÓWNY
w DOMU
KSIĄŻKI POLSKIEJ
Plac Trzech Krzyży
№ 8.
1928 r.

PAMIĘTNIKI

Stanisława Jana Czarnowskiego

WSPOMNIENIA z TRZECH STULECI
XVIII, XIX i XX.



Autor podczas pobytu na Wschodzie.

STAMBUŁ
MORZE MARMARA
i
WYSPY
KSIĄŻĘCE.

WARSZAWA.
SKŁAD GŁÓWNY
w KSIĘGARNI
GEBETHNERA
i WOLFFA
1927 r.

Zeszyt 23.

Odbito w tłoczni p. f. „St. Święcki“ w Kielcach
w małej ilości egzemplarzy.

Stambuł

Morze Marmara i Wyspy Książęce.

Wpośród mnóstwa planów, map i panoram cieśniny Konstantynopola od Morza czarnego aż do Marmara, jednym z najpiękniejszych jest wydany przez Loefflera, z licznemi ilustracjami według układu i rysunku Ludwika Glasera, w chromolitografji w Lipsku. Plan ten stanowi wstęga papieru grubego satynowanego, długa 125 centymetrów, szeroka 25 centym., składana w dziesięcioro w okładce ozdobnej p. t. „Le Bosphore", z napisami i objaśnieniami w języku francuskim. Zdobi ją trzy większe widoki prześliczne: w górnym końcu widok wylotu Bosforu na Morze czarne z daleką perspektywą świetnego widnokręgu; w końcu dolnym widok ujścia Bosforu do morza Marmara z portem Złotego Rogu i Stambułu, oraz widok ogólny Wysp książęcych. Oprócz tego 16 pomniejszych widoczków najpiękniejszych miejscowości wybrzeży Bosforu azjatyckich i europejskich; wreszcie 21 obrazków przedstawiających różne typy etnograficzne męskie i żeńskie w strojach różnobarwnych.

Inne zakłady fotograficzne w Konstantynopolu, mianowicie Abdullaha i Sebaha, oprócz mnóstwa pojedynczych fotografij widoków i typów etnograficznych różnego formatu, wydały też śliczne panoramy wstęgowe obu brzegów Bosforu, składane w okładkach ozdobnych w cenie 1 funta tureckiego czyli około 10 rubli.

Dnia 24 lipca 1887 r. niedziela zrana była chmurna, pogoda niepewna, więc sam zaraz po wczesnem śniadaniu, z małym pakietem żywności, wybrałem się na wycieczkę dla zwiedzenia północnych wybrzeży Złotego Rogu nieco dzikich. Wziąłem rewolwer starannie nabity i fez czerwony na głowę aby mieć wygląd krajowca.

Ma poszła później do kościoła Panny Marji na Pera na nabożeństwo i miała czekać na mnie z obiadem.

Z mieszkania naszego przy ulicy Bujuk-Hendek wprost przez stary cmentarz turecki ocieniony gęsto cyprysami doszedłem do gmachu koszar marynarki, minąłem nadmorski pałac Admiralicji t. zw. Diwan-Hane. Wzdłuż murów warstatów i składów marynarki wojennej przebyłem małoludnemi ulicami głównemi ciche przedmieścia północnego brzegu Złotego Rogu: Kasim-Pasza, żydowską dzielnicę Haskiej, Kalidże-Oglu i Sudludże.

Stąd dostałem się na wyniosłe wzgórze, na którem rozpościera się rozległy cmentarz żydowski, ponury, szary, z prastaremi nagrobkami zapadłemi w ziemię wpośród zielska bujnego. Pustkowie to dziwnym tchnęło smętkiem.... Atoli niebo zaczęło się wyjaśniać przed południem. Słońce wyjrzało z za chmur, oświetliło szeroką panoramę rozkosznej doliny Słodkich wód Europy t. zw. Kiahathane-Su. U stóp góry rozpostarł się rozległy kobierzec łąk szmaragdowych, ocieniony tu i owdzie kępami starych drzew i bujną zielenią ogrodów, z pasem błękitnym wzgórz na Zachodzie.

W cieniu ruin starego muru cmentarza, na miękkiej murawie ułożyłem się wygodnie, rozkoszując się czarownym widokiem wokoło. Za Złotym Rogiem zaległ szeroko potężny Stambuł z kopułami swych olbrzymich meczetów, staremi murami bizantyjskiemi na skraju miasta, i gęstemi gajami cyprysów cmentarzysk machometańskich na tle sinych wód morza Marmara...

Wypocząwszy dobrze spożyłem moje zimne przekąski, zakropiając je winem greckiem, a na deser soczyste owoce. Dla skrócenia sobie drogi powrotnej, skierowałem się na ścieżki zamiejskie, na przełaj przez plac starej strzelnicy łuczników t. zw. Ok-Mejdan i dolinę rzeczki Bulbul przedmieścia Kasim-Pasza. Niebawem popołudniu przybyłem do domu, gdzie Ma, po swojem nabożeństwie czekała na mnie z obiadem.

Wieczorem o chłodzie po herbacie poszliśmy razem na koncert do pobliskiego Ogrodu miejskiego. W dnie powszednie wieczorami bardzo miłą przechadzkę odbywaliśmy często wzdłuż alei i ścieżek przechodnich przecinających gaje cyprysów na starych cmentarzyskach mahometańskich, ciągnących się od naszej ulicy Bujuk-Hendek poniżej Ogrodu miejskiego aż pod wysokie mury tarasu Ambasady angielskiej.

Pod płytą marmurową jednego ze starych grobowców tureckich suka uliczna wykopała głęboką jamę, i umieściła w niej swoje szczenięta, które nie widząc nikogo wychodziły igrać ze sobą wpobliżu na słońcu. Za naszem zbliżeniem chowały się szybko w swej kryjówce. Tylko największy najśmielszy psiak, wyszczerzywszy zęby ujadał z dziury na nas zawzięcie. Wtedy nadbiegała suka zdaleka, ale nie widząc żadnych złych zamiarów z naszej strony odchodziła spokojnie.

Za Ogrodem miejskim i sąsiednim „Hotelem królewskim" (Hotel royal) przy linji głównej tramwaju, obok żelaznej bramy frontowej dziedzińca Ambasady angielskiej mała kaplica protestancka, zwykle pusta, stała zawsze otworem dla przechodniów. Na pultach ławek dębowych leżały tam liczne egzemplarze Pisma świętego Nowego testamentu, oprawne w czarne płótno dla użytku pobożnych. Przez drzwi otwarte weszliśmy tam na chwilę odpocząć w ciszy i chłodzie. Potem wpobliżu zwiedziliśmy jeszcze srarożytny kościół grecki bizantyjski po drugiej stronie linji tramwaju.

W końcu lipca odwiedził mię znowu w magazynie p. Biskupski, wójt Adampola i zabrał książki dla tamtejszej czytelni. Wkrótpo nim wstąpił do nas w przejeździe Sadyk-bej, syn słynnego Sadyka-paszy Czajkowskiego, mówił dobrze po polsku, wspomniał, że służy w kawalerji gwardji, i kupił ładną papierośnicę. Więcej potem już niewidziałem go, jego brat starszy był podobno gubernatorem Libanu.

W następną niedzielę 31 lipca 1887 r., jak zwykle wczesnym rankiem po śniadaniu, z pakietem żywności, wybrałem się z Ma na cały dzień na dalszą wycieczkę w dolinę Słodkich Wód Europy. Koleją Tunelu zjechaliśmy w kilka minut do głównego mostu, do przystani parowców Złotego Rogu, mieszczącej się przy wybrzeżu Galaty po prawej stronie mostu. Pierwszy parowiec wyruszył wkrótce w drogę. Wstępował do głównych przystani zatoki mniejszego portu handlowego oraz portu wojennego za drugim mostem. Pancerniki stojące na kotwicy długim rzędem lśniły w promieniach słońca okuciami z mosiądzu i paszczami dział. Marynarze myli wodą pokłady i uwijali się koło lin, żagli i machin.

Złoty Róg po grecku Chryzokeras, stanowi wielki liman rzeki Kiahathane-Su, długi przeszło 1½ mili, około 11 kilometrów, szeroki średnio pół kilometra, głęboki 2 do 50 metrów przy swem ujściu do Bosforu koło przylądka Stambułu pod Starym Zamkiem cz. Eski-Serajem. Jazda parowcem pod wodę trwa tam przeszło godzinę, z powrotem z wodą nieco krócej. Niebawem minęliśmy świetny pałac Admiralicji t. zw. Diwan-Hane, przylądek Fanar z katedrą grecką, pałac patriarchy greckiego i przedmieście Ejub z pięknym meczetem Osmana. W porze letniej spacerowej parowce dochodzą do samego końca Złotego Rogu pod wsią Kara-Agacz, przy ujściu Słodkich Wód Europy strumienia Alibej-Su i Kiahathane-Su. Do nich wpadają od północy liczne potoki i strumienie z wyżyn pobliskich brzegów Morza Czarnego i lasu Belgradzkiego, zasilające też w części główne wodociągi Stambułu i Pery. Długa zatoka Złotego Rogu położona między twardemi skałami dewońskiemi od północy a kruchemi i miękkiemi skałami trzeciorzędowemi od południa, została w nich głęboko wyryta przez odwieczną erozję wód rzecznych do niej wpadających. Stanowi też jeden z największych i najwspanialszych portów świata.

Po wylądowaniu na stacji końcowej w Kara-Agacz, ruszyliśmy zaraz dalej drogą ciągnącą się nad brzegiem rzeki Kiahathane-Su, wpośród łąk kwiecistych i kęp rozłożystych drzew. W różnobarwnym tłumie świątecznym, w strojach tureckich, greckich i europejskich uwijali się kawiarze wędrowni, przekupnie owoców i słodyczy przeróżnych: hałwy, rahatłuku, migdałów i orzechów osmażanych w miodzie, limonady, lodów i t. p. Cyganki stare i młode, szczerząc w uśmiechu zęby piękne białe, wróżyły z rąk i kart. Kataryniarze wygrywali melodje z oper

i tańce; murzyni nucili przeciągle swe pieśni monotonne dziwaczne przy dźwiękach tamburów i bałabanów z długą rękojeścią. Nad brzegiem rzeki przy długim szeregu ognisk niezliczonych, na rożnach drewnianych wspartych na koziołkach z kijów grubych, piekarze i rzeźnicy piekli barany całe, ociekające tłuszczem świeżym. Nożami ostremi krajali zręcznie plastry pieczeni rumiane, posolone i z kromkami chleba podawali na białych talerzach. Liczni goście usadowieni wokoło na trawie spożywali ze smakiem świeże pieczyste, zapijając kawą czarną od kawiarzy wędrownych.

Dla wypoczynku opodal w cieniu platanów rozłożystych usiadłem z Ma na trawniku. Przyniosłem dwie porcje baraniny, gorącej z chlebem. Do tego mieliśmy swoje widelce i noże, wino greckie i owoce różne na deser. Potem kawiarz turek podał nam parę filiżanek kawy świeżo zrobionej na piecyku z węglami. Kilku murzynów opodal tańczyło ogniście swojego dreptaka, kilkanaście młodych cyganek przyklaskiwało im śpiewając do taktu. Cyganeczka mała zbierała grosze za ten balet improwizowany.

Po wesołym obiedzie, zawinąłem w papier resztę owoców na podwieczorek i ruszyliśmy dalej do parku sułtańskiego. Pałacyk dawniej świetny, był podówczas całkiem zaniedbany i pusty. Sąsiednie budynki papierni rządowej zwane po turecku Kiahathane były też nieczynne. Za to ruch niezwykły panował na sąsiednim folwarku w wielkich murowanych stajniach sułtańskich, otoczonych staremi lipami przy szerokiej drodze publicznej. Stajenni dworscy na przyległym dziedzińcu puszczali ogniste ogiery arabskie do pięknych klaczy rasowych, rżących ponętnie śmiechem końskim. Liczni przechodnie przystawali, przypatrując się temu widowisku niezwykłemu, a młode damy tureckie, elegancko ubrane, okazywały najżywsze zainteresowanie tą sceną drastyczną...

Po podwieczorku złożonym z owoców i kawy czarnej nad brzegiem rzeki, wsiedliśmy do małej łódki i przed wieczorem dojechaliśmy szybko z wodą do przystani Kara-Agacz. Niebawem przybył parowiec i zabrał nas do miasta. Świetna panorama obu brzegów Złotego Rogu z kopułami szaremi meczetów i smukłych minaretów białych, wspaniałe pałace, gmachy Admiralicji, pancerników cielska czarne, ruch nieustanny kaików rączych na tle barwnych fal morskich w blaskach purpury zachodu słońca przedstawiała obraz czarowny. Z przystani parowców przy moście głównym pociąg kolei Tunelu przeniósł nas niebawem do naszego mieszkania. Po herbacie domowej i przejrzeniu świeżych gazet zasnęliśmy wkrótce, by wypocząć do dalszej pracy codziennej.

W sierpniu wzmogły się upały. Po burzach wiosennych porównania dnia z nocą zwykłych na Południu, lato było spokojne, deszcze rzadkie. Stróże domów musieli często polewać

chodniki. Mimo to pył uliczny wciskał się wszędzie, tak że drzwi naszego magazynu można było otwierać tylko z jednej strony od cienistego Pasażu. Nasze psy uliczne chętnie piły wodę świeżą z miski stojącej na progu. Pomocnik mój, pan Juljan, zmieniał kolejno wystawy sreber w oknach, a służący Hamparzum oczyszczał przedmioty zapylone spirytusem z kredą miałką. Z upragnieniem też oczekiwaliśmy wieczornego chłodu i naszej przechadzki do Ogrodu miejskiego lub między gaje cyprysów pobliskie. Po kolacji, przy otwartych oknach, pracowałem gorliwie nad moją Historją Dziennikarstwa, rękopis rósł szybko.

A gdy nadeszła znów upragniona niedziela następna 7 sierpnia 1887 r., byliśmy już o świcie ubrani. Stary bułgar Borys przynosił nam wczesnym rankiem codzień wyborne mleko z krowiarni własnej. Piliśmy je zaraz z chlebem surowe zimne dla ochłody.

Potem niezwłocznie śpieszyliśmy na pierwszy parowiec na Złoty Róg. Stambuł w całym przepychu swej barwnej panoramy różowił się w odblaskach poranka. Ruch na morzu i w mieście ożywiał się z każdą chwilą. Po kilku przystankach pomniejszych, wysiedliśmy na wybrzeżu Fanaru, tej starej dzielnicy greckiej Konstantynopola (nazwanej tak dlatego, że podczas oblężenia przez turków fortyfikowana była pośpiesznie nocami przy latarniach, fanarach).

Pałac patriarchy ekumenicznego i główna katedra św. Jerzego przedstawiała się wówczas bardzo skromnie wpośród bogatych domów starej arystokracji grecko-bizantyńskiej t. zw. fanarjotów. Wpobliżu wznoszą się tam gmachy szkolne: żeński założony w r. 1856, i męski wzniesiony nieco później przez patriarchę Joachima II-go, z bogatą bibljoteką obejmującą też wiele rękopisów cennych.

Przez otwarte drzwi katedry weszliśmy do przedsionka, a potem pod chórem nawy głównej zasiedliśmy po lewej stronie na ławie dębowej. Kościół rano był jeszcze prawie pusty. Wkrótce wyszedł z zakrystji kościelny, zdjął pokrywę z wysokiej chrzcielnicy stojącej pod murem i napełnił ją wodą. Po nim wyszedł pop w ornacie i rodzice chrzestni z dziecięciem w poduszkach. Po odmówieniu modłów, pop ujął nagie dziecię pod ręce i zanurzył w wodzie całe na chwilę. Po wyjęciu z chrzcielnicy noworodek chłopczyk, nie zważając wcale na uroczyste ceremonje, pozwolił sobie załatwić naturalną potrzebę siurkiem na podłogę. Chrzestna matka otuliła zaraz bezwstydnego chłopaka pieluszką i zawiązała w poduszce.

Nie zatrzymując się tam dłużej, ruszyliśmy dalej główną ulicą ciągnącą się równolegle do brzegów Złotego Rogu przez sąsiednią dzielnicę żydowską Balata. Mieszkają w niej t. zw. spańjole, potomkowie żydów ongi wygnanych z Hiszpanji, używający między sobą żargonu, będącego zepsutym językiem hiszpańskim. Dzielnica to biedna, ciasno zabudowana i niechlujna.

Więc coprędzej szliśmy dalej, przez sąsiednie przedmieście tureckie Ejwan-Seraj i bramą starych murów nadmorskich dostaliśmy się do czystej białej kawiarni tureckiej na bulwarze. Po kilku filiżankach wybornej kawy i krótkim wypoczynku idąc dalej wybrzeżem Złotego Rogu przez czyste przedmieście tureckie Ortakdżilar dotarliśmy do ostatniej tamtejszej dzielnicy mahometańskiej ze słynnym meczetem Ejuba. Świątynię tę najbardziej czczoną przez muzułmanów tamtejszych, wzniósł Mahomet II Zwycięzca w miejscu gdzie znaleziono zwłoki wielkiego chorążego świętego sztandaru Ejuba, który poległ tu podczas oblężenia Konstantynopola przez arabów w r. 668. W świątyni tej przechowuje się święta szabla Osmana, którą każdy władca Turcji, przeprowadzany przez najwyższych dygnitarzy państwa, przypasywał uroczyście, co miało znaczenie koronacji. Meczet Ejuba zbudowany cały z białego marmuru z piękną kopułą główną, licznemi mniejszemi i dwoma minaretami, ocieniają, stare drzewa i olbrzymi platan najstarszy w Stambule. Wstęp dla niewiernych jest tam wzbroniony bezwzględnie, nawet najwięksi obcy dygnitarze i ambasadorowie nie mogli się dostać do wnętrza tej świątyni czczonej fanatycznie. Obok niej kaplica grobowa Ejuba też z białego marmuru jaśnieje mnóstwem lamp nigdy nie gasnących. Wokół kręgiem stoją stare grobowce dygnitarzy tureckich bogato złocone z szumnemi napisami wpośród kwiatów i cyprysów wiecznie zielonych. Cichy szmer wodotrysków łączy się tu czarownie z poszumem wiatru roznoszącego rozkoszny zapach róż i akacyj.

Wązką drogą ciągnącą się między podmurowaniami odwiecznych cmentarzy mahometańskich, oplecionemi bluszczem pnącym, wyszliśmy na puste pola i pastwiska porosłe niską trawą. Na wzgórzu w cieniu drzew spoczęliśmy na trawniku pochyłym wpośród kępek macierzanki okrytej bujnym kwieciem. Ma rozłożyła szeroko swój szal, a ja na nim białe arkusze papieru z prowjantami. Zamiast gorącej herbaty zrobiłem parę szklanek zimnej limonady z winem dla ochłody Rozległy widok z naszego wzgórza na szafirową zatokę Złotego Rogu aż po brzeg Bosforu, między amfiteatrem przedmieść Stambułu i Pery w purpurowych odblaskach zachodu słońca był iście bajeczny. Rozkoszną ciszę tego pustkowia ożywiał tylko szczebiot ptasząt zdążających z pól do swoich gniazd i daleki swist parowców osobowych. Po wypoczynku i przejrzeniu świeżych gazet doszliśmy powoli do końcowej przystani Złotego Rogu w Kara-Agacz, skąd parowiec wieczorny dowiózł nas do mostu głównego, a kolej podziemna Tunelu do domu.

Patriarchat grecki w Konstantynopolu uciskany i poniewierany przez despotyczne rządy tureckie, pozbawiony uposażenia urzędowego, żyje z wyzysku i zdzierstwa swych wyznawców, oraz symonji czyli sprzedaży godności duchownych. Cała jego hierarchja i niższe duchowieństwo nie mając również upo-

sażenia stałego, żyje z jałmużny i opłat za obrządki religijne i nabożeństwa. W święta główne Wielkiej nocy, Bożego narodzenia i t. p. popi greccy obchodzą kolejno mieszkania i domy swych parafjan zamożniejszych, gdzie oprócz poczęstunku otrzymują datki pieniężne. Wywiadują się przytem o stosunki majątkowe i familijne parafjan, swatają młodzież i panny na wydaniu, stręczą małżeństwa, pocieszają wdowy i sieroty jak mogą... Wyzysk i fanatyzm tych ciemnych popów greckich oraz ich usiłowania systematyczne helenizacji wyznawców innej narodowości, mianowicie bółgarów, doprowadziły do oderwania ich od patriarchatu greckiego, i utworzenia tak zwanego Egzarchatu bółgarskiego pod władzą duchowną egzarchy, którego siedzibą był pałac na przedmieściu Ortakiej nad Bosforem. Korzystając z tych zatargów i starć religijnych tamtejsze duchowieństwo rzymsko-katolickie i mnichy zakonne różnego rodzaju starają się nawracać owych schizmatyków przez udzielanie wsparć ubogim, stręczenie posad, roboty, zakładanie szkół klasztornych i ochron dla dzieci, protekcję wszelkiego rodzaju i t. p. Jeden z takich mnichów t zw. zmartwychwstańców zbierał składki i podpisy na adresie do papieża rzymskiego; wstąpił też i do naszego magazynu w tym celu, lecz naturalnie odszedł z niczem. Duchowieństwo i misjonarze anglikańscy na inny sposób propagują swoje wyznanie przez t. zw. Towarzystwo biblijne, które posiada w Stambule własny wielki dom i drukarnię, wydającą przekłady Biblji żydowskiej i Ewangelji na różne języki Wschodu. Protestanci niemieccy agitują tam przez kolportaż książek i broszur politycznych skierowanych głównie przeciwko wpływom Rosji, a schlebiających Turcji i podniecających mahometan przeciw rządom obcym. Kolporterzy owi są zarazem szpiegami politycznemi na rzecz Niemiec. Jeden z takich kolporterów broszur, „gegen Russland”, zamieszkały na Galacie w obskurnej budzie ze składem książek, żyd rumuński Iwanowiczi, nachodził też i nasz magazyn, ale nie sprzedawszy nic przestał się pokazywać.

Po zwiedzeniu obu brzegów Złotego Rogu i doliny jego dopływu t. zw Słodkich wód Europy, wybrałem się z Ma w następną niedzielę 14 sierpnia 1887 r., tą samą drogą co poprzednio parowcem do przystani przedmieścia Ejwan-Seraju za Fanarem, gdzie utrzymały się jeszcze reszty murów bizantyjskich. Dalej otaczają one Stambuł od Zachodu nieco wygiętym łukiem na przestrzeni blisko mili czyli 7 kilometrów, ze 120 wieżami i licznemi bramami aż do brzegów morza Marmara.

Z przystani parowców Ejwan-Seraju, po przebyciu kilku ciasnych uliczek przedmieścia, minęliśmy mały stary cmentarz grecki, tulący się w zakącie murów przy ruinach Tekfur-Seraju (dawnego pałacu Hebdomon Belizarjusza). Idąc dalej wzdłuż odwiecznych murów spoczęliśmy w ich cieniu w chłodzie porannym na pochyłym trawniku. Wokoło szerokim pasem ciągną

się tu rozległe ciche cmentarze mahometańskie ocienione gajami cyprysów. Minąwszy dalej pełną ruchu wielką bramę Adrjanopolską, przy której schodzą się główne drogi zamiejskie, oraz małą dolinę strumyka Likus, płynącego przez Stambuł, doszliśmy niebawem do historycznej bramy Top-Kapu czyli Działowej. Przez nią w r. 1453 po długiem oblężeniu wdarli się turcy do miasta. Było to w dniu 29 maja. Cała zachodnia strona stolicy Konstantyna zawalona była tu zbrojnemi hufcami turków, zebranymi pod świętą chorogwią Proroka. Potężny sułtan Mahomet II-gi na białym koniu objeżdżał swe niezliczone szeregi, zachęcając do boju i zwycięstwa. Cesarz grecki Konstantyn widząc, że nadeszła ostatnia chwila tragiczna, zgromadził koło siebie towarzyszów broni i przemówił do nich gorąco poraz ostatni. Zepchnięty z murów bronił miasta za barykadami. Potoki krwi bryzgały w zażartym boju. W końcu nawała turecka wdarła się do stolicy. Ostatni cesarz grecki Konstantyn Paleolog poległ bohaterską śmiercią z mieczem w dłoni. Przy owej bramie Top-Kapu znaleziono jego ciało tak porąbane, że z trudnością je poznano. Odtąd świetna stolica nadbosforska przez blisko pięć stuleci straconą została dla cywilizacji europejskiej...

Za staremi murami jej ciągną się dalej rozlegle cmentarze tureckie w cieniu cyprysów, owiane cichą melancholją, tu i owdzie małe meczety i klasztor mnichów derwiszów, tańczących nabożnie w piątki świąteczne. Doszliśmy wreszcie do potężnego Zamku siedmiu wież czyli t. zw. Jedikuły. Pod murami na pustkowiu w cieniu drzew na trawie spoczęliśmy dłużej, by spożyć nasz obiad zabrany z domu w pakiecie. Po czarnej kawie w ludnej kawiarni tureckiej, za wielką bramą Jedikuły, wsiedliśmy w ostatni tramwaj wieczorny. Wzdłuż brzegów morza Marmara przez cały Stambuł dojechaliśmy do głównego mostu Złotego Rogu, wreszcie koleją Tunelu do domu.

W połowie sierpnia zawitał do naszego magazynu niespodziewany gość z Paryża—dr Antoni Złotnicki, dawny współpracownik „Przeglądu tygodniowego" w Warszawie. Młody 30-letni blondyn rumiany, z miłym uśmiechem napółironicznym igrającym mu zawsze na ustach pod wąsem, z jasnem spojrzeniem oczu błękitnych. Przybył na dłuższy czas na Wschód z towarzyszem podróży ruskim emigrantem politycznym, mieszkał z nim razem niedaleko na Galacze, i dał mi swój adres. Odwiedziłem ich wkrótce w wysokiej kamienicy, której okna frontowe wychodziły na Złoty Róg, a w ścianie szczytowej ich pokoju wycięty był duży otwór kwadratowy z oknem o jednej szybie, z widokiem czarownym na Bosfor.

Doktor medycyny Antoni Złotnicki urodził się 13 stycznia 1857 r. we wsi Dziewczopolu i był młodszy ode mnie o lat 10. Studja uniwersyteckie rozpoczął w Warszawie, ukończył w Bernie w Szwajcarji. Wyspecjalizował się w chorobach nerwowych pod kierunkiem słynnego profesora Charcot w Paryżu. Obok tego

studjował psychologję, chemję i sprawy społeczne. Był też współpracownikiem „Prawdy” Świętochowskiego Aleksandra oraz „Przeglądu tygodniowego” Adama Wiślickiego, gdzie pisywał kroniki hygieniczne i liczne artykuły: p. t. Wyradzanie się ludzkości, Alkoholizm i obłąkanie, Pesymizm XIX wieku, Filozofja nicości i wiele innych o treści społecznej i przyrodniczej. W „Ateneum” warszawskiem pomieścił rozprawę: O hipnotyzmie, był też współpracownikiem czasopisma „Zdrowie”.

Podczas drugiej bytności dra Złotnickiego u mnie w magazynie zrana, nadbiegł młody syn mojego znajomego fortepianisty p. Grabowskiego ze smutną wieścią o krwawej przygodzie swego ojca.

— Wczoraj, mówił, wracaliśmy wieczorem o zmroku z ojcem z przedmieścia Skutari do domu w Kadikiej, gdy nagle napadło nas kilku żołdaków tureckich. Wydarli ojcu torebkę z pieniędzmi i narzędziami do strojenia fortepianów i chcieli nas obedrzeć z ubrania. Ojciec bronił się, a ja zacząłem krzyczeć i pobiegłem po ratunek do pobliskiego domu. Nadbiegli ludzie, ale rabusie uciekli. Znalazłem ojca leżącego na ziemi zakrwawionego. Zawołałem dorożkę przejeżdżającą, przy pomocy ludzi ułożyłem ojca na siedzeniu tylnem, sam usiadłem na przedniem podtrzymując ojca napół nieprzytomnego z przestrachu. Niebawem dojechaliśmy do domu. Zawołałem matkę i razem przenieśliśmy rannego do mieszkania na łóżko. Sprowadziłem natychmiast felczera, który opatrzył rany zadane nożami dość powierzchowne na szczęście, bo ojciec cierpiący na reumatyzm miał na sobie grube palto i surdut z mocnego materjału. Ojciec po opatrunku uspokoił się nieco, zasnął, ale jest bardzo osłabiony. Matka wysłała mię tutaj do apteki po świeże materjały opatrunkowe, aby zmienić okłady na ranach i prosić pana o pomoc.

Nie tracąc ani chwili czasu zostawiłem magazyn pod opieką mego pomocnika p. Juljana i służącego Hamparzuma, a sam z doktorem Złotnickim i chłopcem koleją Tunelu zjechałem w kikanaście minut na wybrzeże Galaty, stamtąd kaikiem przepłynęliśmy szybko Bosfor ukosem z biegiem wody do Kadikje. Chłopiec doprowadził nas do domu niedaleko od przystani morskiej. Doktor zbadał liczne rany przeważnie na plecach i ramionach, przyłożył nowe opatrunki i bandaże, zapisał receptę na krople przeciwgorączkowe uspakajające. Pani Grabowska, zacna armenka dziękowała nam serdecznie, przyniosła palto męża i podniosła je pod światło pokazując kilkanaście dziur zrobionych nożami. Poczęstowała nas potem sokiem wiśniowym z wodą dla orzeźwienia bo było gorąco. Pożegnaliśmy się zaraz, i tą samą drogą co poprzednio wróciliśmy z doktorem do magazynu.

Dr Złotnicki, który przyjechał koleją do Carogrodu, pragnąc zwiedzić Bosfor prosił, abym mu towarzyszył w tej wyciecz-

ce. Umówiliśmy się na następną niedzielę na cały dzień 21 sierpnia 1887 r. Ma była nieco słaba, więc wolała zostać w domu i być na mszy w kościele Panny Maryi na Pera. Ja sam tedy zaraz po śniadaniu rano pośpieszyłem na Galatę do mieszkania doktora, który czekał już na mnie gotów do wyjścia. Pierwszym odchodzącym parowcem od mostu Złotego Rogu wyruszyliśmy wzdłuż europejskiego brzegu Bosforu, nie wysiadając nigdzie. Z przedniego pokładu parowca napawaliśmy się czarowną panoramą obu wybrzeży cieśniny, przyczem od czasu do czasu dawałem krótkie objaśnienia. Wysiedliśmy dopiero przed południem w ostatniej przystani Rumili-Kawak o 24 kilometry od Stambułu. Stamtąd pieszo doszliśmy do Mawromolo ślicznej doliny u stóp góry Kara-tasz, gdzie już raz zrobiłem wycieczkę przed paru miesiącami. Upał był wielki. Więc na małej plaży piasczystej przy czarnych skałach bazaltu, wykąpaliśmy się dla orzeźwienia. Przy pobliskim domku kawiarza w cieniu starych platanów i lip spoczęliśmy na trawię. Gościnny gospodarz przyniósł nam zaraz duży miękki dywan parę poduszek skórzanych i dwa nargile. Kazałem jeden zabrać, drugi zapalił zaraz doktór, puszczając powoli kłęby dymu aromatycznego z wybornego macedońskiego tytoniu. Zamówiłem dwie porcje pilafu, owoce i kawę czarną. Niebawem na wielkiej tacy drewnianej przyniósł nam wszystko usłużny gospodarz i postawił między nami w pośrodku. Jedliśmy napół leżąc po rzymsku. Baranina była wyborna, krucha i smaczna, równie jak winogrona czausze i figi świeże z soczystą śródowocnią różową. Po czarnej kawie i paru szklankach wody źródlanej doktór palił powoli nargil powtórnie nałożony. Kawiarz przyniósł nam jeszcze raz czarną kawę, zabrał tacę z nakryciem i srebrną medżidję dla siebie. Nikogo tu więcej nie było. Cisza panowała wokoło przerywana tylko szelestem drgającym mnóstwa koników polnych w ścierniskach.

I długo tak leżeliśmy jeszcze w cieniu starych platanów, patrząc na błękitne góry azjatyckiego brzegu Bosforu, na białe ruiny twierdzy genueńskiej u stóp stromego Jusza-Dagu, na zielone forty bateryj tureckich. Po szafirowej toni zatoki przesuwały się powoli kolejno z Czarnego morza białe żagle okrętów i snuły szare dymy parowców olbrzymich z oceanów Za chodu i Wschodu. A nad tem wszystkiem wysoko po odwiecznym niebios lazurze płynęły chmurki niknące w przestworach. Doktór zaczął prawić coś o filozofji nicości, a ja przypomniałem sobie, że w domu czeka Ma, wyglądając przez okno wpośród wonnych róż na mój powrót. Więc wstałem, i zaraz szybkim krokiem ruszyliśmy wprost do przystani Rumili-Kawaku. Zdążyliśmy jeszcze na czas na ostatni parowiec. Wieczór był jeszcze piękniejszy niż dzień cały, a Stambuł w purpurze zachodu słońca wspaniały. Z przystani głównego mostu zabrałem doktora koleją Tunelu do domu, gdzie Ma czekała na nas

z herbatą. Doktor przeglądał bogaty zbiór moich fotografij z podróży na Wschód i na Zachód, a Ma opowiadała o naszych ostatnich wycieczkach nadbosforskich.

Na drugi dzień dr. Złotnicki przyszedł do mnie do magazynu pożegnać się. Dowiedział się bowiem, że na górze Atos do wielkich klasztorów mnichów potrzebny jest zaraz lekarz, więc postanowił jechać tam zaraz by poznać bliżej na miejscu warunki.

Ruch w magazynie naszym jako luksusowym był w lecie mniejszy, podobnie jak wogóle w handlu miejscowym, z powodu wyjazdu sfer bogatszych na willegjaturę. Tembardziej, że jesień pogodna i gorąca nad Bosforem trwa długo bo do końca roku, a zima i pierwsze śniegi zaczynają się dopiero w połowie stycznia.

Wieczorami pracowałem gorliwie nad dalszym ciągiem mojej Historji Dziennikarstwa, której rękopis pomnażał się szybko, przepisywany odrazu na czysto, aby mieć drugi egzemplarz dla drukarni.

Redaktor „Przeglądu tygodniowego" przesyłając mi z Warszawy resztę honorarjum za artykuły drukowane w jego Miesięczniku, dołączył przy rachunku list następujący:

„Szanowny Panie! Czy jedna korespondencja z Konstantynopola na miesiąc bardzoby Pana przeciążyła? A jednak parę słów o losach rodaków zagnanych nad Bosfor, trochę polityki, nieco o widokach naszego handlu na Wschodzie — złożyłoby się na całość bardzo interesującą naszych czytelników. Byłbym nader Szanownemu Panu wdzięczny gdybyś propozycję moją wziął pod uwagę, i prośbie mojej, nie odkładając, łaskawie zadość uczynić raczył.

„Łączę wyrazy poważania — sługa" *A. Wiślicki.*

Podobnie jak podczas mego pobytu w Nizzy, na zaproszenie tegoż redaktora „Przeglądu tygodniowego" pisywałem „Listy z Włoch", tak samo z Konstantynopola, zacząłem niezwłocznie wysyłać „Listy ze Wschodu". List I, obejmujący kronikę bieżącą, pomieszczony został, w nr. 37 „Przeglądu tygod." z d. 11 września 1887 r. w objętości wierszy 211. List II w nr. 41 z d. 9 października, w objętości 192 wierszy. List III w nr. 47, 48 i 49 z listopada i grudnia 1887 r. 474 wierszy. Honorarjum przysyłała mi redakcja pocztą, a także ekzemplarz bezpłatny „Przeglądu", który po przeczytaniu oddawałem do czytelni „Polskiego towarzystwa bratniej pomocy".

W lecie 1887 r. kolonja polska w Konstantynopolu poniosła bolesną stratę. W sierpniu zmarł ś. p. Henryk Gropler w willii swej w Bebeku nad Bosforem, bogaty i ruchliwy przemysłowiec, którego dom był długo świetnem ogniskiem życia towarzyskiego i ostoją polaków przebywających na Wschodzie, ub przejeżdżających przez nadbosforską stolicę, jak to już zazna-

czyłem poprzednio w zeszycie 20-ym „Pamiętników“ niniejszych. Osierocił małżonkę swą Ludwikę z Głowackich (wnuczkę, słynnego Bartosza z pod Racławic) która zmarła w kilka lat później d. 28 maja 1901 r.

Podczas największych upałów lata 1887 r. i dusznego powietrza wiejącego z ciasnych przedmieść nadmorskich Konstantynopola, panowała tam gorączka epidemiczna t. zw. danga, której objawem była zaczerwienienie skóry i podniesiona ciepłota. Jakkolwiek zdrów ciągle, podległem chwilowo tej epidemji. Niezwłocznie w pierwszą nadchodzącą niedzielę udałem się zrana do znajomego doktora Ihnatowicza polaka, ordynatora Szpitala ruskiego na odległem przedmieściu Sziszli. Wziąłem z sobą pakiet gazet ruskich i innych słowiańskich, (jakie zwykle odsyłałem dla czytelni tego szpitala przez pobliski naszego magazynu Konsulat ruski) i tramwajem konnym pojechałem po poradę. W poczekalni zastałem już pełno pacjentów. Dyżurnemu felczerowi dałem mój bilet wizytowy, i poprosiłem aby mię zaraz zameldował. Zostałem przyjęty natychmiast. Doktor Ihnatowicz w dużym gabinecie jasnym i słonecznym powitał mię uprzejmie jako dawny znajomy z biura Konsulatu. Zapytał o zdrowie, zbadał starannie i zapisał receptę na proszki salicylowe przeciwgorączkowe. Honorarjum nie chciał wcale przyjąć, ale ja położyłem je na biurku, i uprosiłem, aby przeznaczone było na chleb dla chorych ubogich na mieście, którym doktor udziela porady bezpłatnie. Doktór polecił mi abym z receptą udał się zaraz do apteki szpitalnej, gdzie otrzymam lekarstwo bezpłatnie chemicznie czyste; w aptekach miejskich bowiem zdarza się, że w braku środka przepisanego dają inny podobny lecz mniej lub wcale nieskuteczny. Służący zaprowadził mię do apteki przez szerokie słoneczne korytarze o śnieżnobiałych ścianach, z posadzką olejno malowaną. Lekarstwo zrobiono mi na poczekaniu. Prowizora apteki zapytałem gdzie mógłbym oddać gazety dla czytelni szpitalnej. Wskazał mi drogę do siostry przełożonej pielęgniarek. Dyżurna, w białej chusteczce na głowie, wprowadziła mię do ładnego, jasnego salonu, poprosiła spocząć i zaanonsowała. Wkrótce wyszła do mnie siostra przełożona, osoba w średnim wieku, w czarnej sukni, z białym szalem na głowie i opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu. Powitała mię po rusku z wesołym uśmiechem, podała białą delikatną rękę do ucałowania i prosiła spocząć w fotelu przy środkowym stole, nakrytym białym obrusem. Oddałem mój pakiet z gazetami i paru książkami dla czytelni szpitalnej. Przełożona dziękowała mi najuprzejmiej za pamięć o jej chorych, którzy chętnie czytają czasopisma przesyłane przeze mnie co tydzień przez Konsulat. Wkrótce potem służąca wniosła na dużej tacy srebrnej piękny serwis z herbatą i postawiła na stole. Przełożona nalała dwie filiżanki herbaty z dużego czajnika porcelanowego i przysunęła biszkopty. Herbata była wyborna, aroma-

tyczna i starannie przyrządzona, prawdziwa chińska. Siostra przełożona opowiadała mi obszernie o przezacnym doktorze Ihnatowiczu, jako moim rodaku, podnosząc jego niezmordowaną pracę nietylko w wielkim zakładzie szpitalnym, utrzymywanym wzorowo, ale i w poradach na mieście u pacjentów ubogich obłożnie chorych, którzy uwielbiają go za jego dobroczynność i biegłość w leczeniu. Ubogim bowiem chorym na mieście, bez różnicy wyznania i narodowości, doktor każe często posyłać ze szpitala całe kosze chleba, rosoły i zupy posilne, a wrazie potrzeby wino i koniak dla wzmocnienia rekonwalescentów. To też tłumy ich przychodzą przez cały rok codzień po poradę do poczekalni szpitala, i ubóstwiają przezacnego doktora. Po drugiej filiżance herbaty pożegnałem uprzejmą przełożoną, która polecała nadal mej pamięci Czytelnię szpitala. Tramwajem końcowej stacji Sziszli powróciłem niebawem do domu. Przepisane mi proszki salicylowe zażywałem codzień regularnie. Gorączka i czerwoność skóry znikła wkrótce. Natomiast przy rekonwalescencji jakiś czas jeszcze naskórek łuszczył mi się i schodził. Przedtem kilka razy chodziłem do łaźni tureckiej przy Wielkiej ulicy Pery. Bujuk Hammam czyli Wielka łaźnia tameczna urządzona była z komfortem. Za poczekalnią olbrzymią, w głównej sali z posadzką ciepłą z białego marmuru, ogrzewaną z podziemia, powietrze było gorące jak w łaźniach rzymskich. Tam brałem natryski letnie i zimne, i wkrótce byłem znów zdrów jak ryba.

Na początku września niespodziewanie odwiedził mię w magazynie dawny znajomy fortepianista p. Grabowski, wyleczony już zupełnie z ran zadanych mu niedawno przez żołdaków tureckich. Mówił, że podał skargę do sędziego śledczego o napad. Pomimo jednak wskazania świadków oraz winnych napadu rabusiów, sędzia zapytał go: czy może złożyć sumę potrzebną na prowadzenie sprawy i śledztwa sądowego. Było to poprostu bezczelne żądanie łapówki za wymiar sprawiedliwości. P. Grabowski jako człowiek niezamożny, żyjący z pracy dziennej, nie złożył żadnej kwoty. Wówczas sędzia schował skargę do szuflady, i zapowiedział, że bez wniesienia opłaty będzie tam leżeć bez skutku. Lekarz zalecił p. Grabowskiemu, cierpiącemu przytem na reumatyzm, udać się do Brussy gdzie są znakomite źródła mineralne gorące siarczane i żelaziste. Pan G. przez protekcję Reszyda-paszy, w którego pałacu stroił stale fortepiany haremu, otrzymał bilet urzędowy na kąpiele bezpłatne. Wkrótce też zebrawszy trochę grosza wyjechał na kurację parowcem przez morze Marmara (5 godzin jazdy) do przystani Mudanji, a stamtąd koleją 28 kilometrów do pobliskiej Brussy, dawnej stolicy Turcji azjatyckiej. Położenie jej jest wielce malownicze wpośród gór, nad któremi panuje wspaniały szczyt Olimpu pokryty śniegiem. Zakłady kąpielowe leżą tam o 5 kilometrów od miasta u stóp północnych stoków Olimpu we

wsiach Czekirge i Kiukiurkli. Źródła gorące siarczane mają tam najwyższą ciepłotę 80° centigrada, a źródła żelaziste 45°. Kąpiele te, znane już w starożytności, słynne są na całym Wschodzie i licznie odwiedzane. W obszernych budowlach krytych kopułami, z otworami w sklepieniach z kulami szklanemi dla światła, wielkie sale z posadzką z marmuru białego obejmują rozległe baseny około 15 metrów średnicy. Woda bardzo gorąca musi być studzona przez całą noc, aby służyła zrana do użytku chorych. Pan Grabowski po kuracji miesięcznej odzyskał szczęśliwie zdrowie wyleczony zupełnie.

Nadspodziewanie prędko powrócił też z Góry Atos dr Antoni Złotnicki. Wkrótce po przyjeździe odwiedził mię w naszym magazynie, i opowiadał mi różne ciekawe rzeczy o swym pobycie na Świętej górze.

Góra Atos, w starożytności Akte, po nowogrecku zwana Hagion Oros cz. Święta Góra, leży w odległości licząc w linji prostej około 500 kilometrów albo 250 mil morskich na Zachód od Carogrodu. Zajmuje cypel wschodni półwyspu Chalcedońskiego, w którego zatoce zachodniej znajduje się port Saloniki. Półwysep ów ma kształt łapy o trzech pazurach, z których pazur Atos jest najdrapieżniejszy. Zamieszkuje go bowiem przeszło 6,000 mnichów grecko-katolickich przeważnie prostaków ciemnych, niechlujnych, próżniaków i pasibrzuchów, chytrze wyłudzających olbrzymie sumy od równie ciemnych i głupich tłumów wpółwyznawców kościoła wschodniego.

Góra Atos wysoka 2950 m., widoczna z bardzo daleka, wyłania się stromo z fal Morza egejskiego, ma klimat łagodny i bujną roślinność. Jestto stara siedziba małej republiki mniszej, założonej w X wieku po Chr., posiada własny samorząd. Podówczas podlegała zwierzchnictwu Turcji. Cypel na którym leży Góra święta długi 6 mil, szeroki 2 do 3, łączy się z lądem wąskim przesmykiem. Główna miejscowość Kariaes, z przystanią morską, była siedzibą agi tureckiego, który pobierał na rzecz Porty haracz 24000 flor. rocznie. Właściwą Górę Atos zalega 20 klasztorów murowanych jak twierdze, z najdawniejszem opactwem Laura, 200 pustelni czyli cel osobnych, mnóstwo kościołów, kaplic i kilka wsi. Kobiety są tam całkiem wykluczone.

Dr. Złotnicki w kancelarji Zarządu głównego rozmówił się po rusku, przedstawił swój dyplom uniwersytecki zalegalizowany oraz świadectwa lekarskie specjalne ze swojej praktyki klinicznej. Otrzymał zaraz pokój gościnny z usługą i stołowaniem. Po wypoczynku, na drugi dzień został wezwany do kilku mnichów chorych na silny ból głowy chroniczny. Po zbadaniu ich dokładnem w asystencji felczera miejscowego. okazało się że wszyscy oni mieli mnóstwo wszy w długich włosach i brodach. Doktór zalecił przedewszystkjem obcięcie włosów i ogolenie zupełne, a następnie kąpiele ciepłe. Mnichy a także ich przeło-

żony bezpośredni oparli się temu stanowczo, twierdząc że reguła zakonna nie pozwala na to bezwzględnie Przełożony zaczął robić doktorowi wymówki: że co on za lekarz? Zamiast zapisać receptę, jaką maść lub proszki, to każe głowy golić jak jaki prosty felczer! Doktór odpowiedział, że jeśli o to chodzi, to może zapisać w tym razie chyba proszek perski. To zirytowało mnichów jeszcze bardziej. Przełożony krzyknął w końcu:

— Wy widno poganin nie chrześcianin, przed ikonami nie kłaniacie się i nie perekreszcziwajetieś. My tu takich lekarów nie potrzebujem...

— Rzeczywiście, odparł doktór, widzę że w takich warunkach ja tu nic poradzić nie mogę i muszę was pożegnać.

W kancelarji Zarządu oddano doktorowi jego legitymację i zwrócono koszty podróży. Na dużych stołach zauważył tam doktór całe stosy listów w kopertach adresowanych do różnych miejscowości Rosji. Liczni kanceliści zajęci byli pisaniem tych listów z podpisem niby własnoręcznym „Marji Bogomatieri". W jednym z listów doktór spostrzegł liczne błędy ortograficzne, które poprawił ołówkiem czerwonym. Kierownik tej kancelarji zaproponował doktorowi, aby w czasie wolnym od zajeć podjął się komponować i kopjować takie listy za stosowną zapłatą po kopiejce od sztuki. Wówczas doktór objaśnił, że nie ma czasu na to, ale ma biednego towarzysza rosjanina, który podejmie się tego chętnie. Zgodzono się i dano kilka wzorów takich listów. Zaczynały się, one od „Miłostiwyj Brat", a kończyły podpisem „Marji Bogomatieri", która żaliła się na swoje ubóstwo, na ołtarze i obrazy niczem nieozdobione, nawet na brak oliwy do lamp, prosząc o datki choćby najmniejsze aby zaraz odwrotną pocztą, choćby rubla, a za to przyrzeka wszelkie łaski niebieskie, błogosławieństwa i zbawienie duszy. Nie drukowano tych pism i nie litografowano bo byłyby bezskuteczne. Pisane ręcznie i adresowane imiennie osobiście, przyjmowane były z całą dobrą wiarą przez naiwnych wyznawców, od których płynęły corocznie wielkie sumy ofiar. Regestry imienne przysyłali z Rosji popi według ksiąg metrycznych, naturalnie też za stosownem wynagrodzeniem. Mnichy na górze Atos żyły dostatnio, a cele ich urządzone były bogato. Towarzysz doktora wziął się zaraz do przepisywania owych listów i całe ich pakiety odsyłał do Zarządu klasztorów, gdzie je wkładano do kopert adresowanych imiennie i wysyłano pocztą ruską do Rosji. Podobnież do Bółgarji, Serbji i Grecji.

Po zwiedzeniu brzegów Bosforu azjatyckich i europejskich, wybrzeży Złotego Rogu i starożytnych murów zachodnich Stambułu wybrałem się z Ma nad brzegi podmiejskie morza Marmara.

W niedzielę 4 września 1887 r. jak zwykle wczesnym rankiem koleją Tunelu zjechaliśmy szybko na bulwar Galaty. Przez główny most Złotego Rogu, już pełen ożywionego ruchu w przyległym wielkim porcie handlowym, doszliśmy do wspaniałego

meczetu nadmorskiego Jeni-Valide-dżami, który zwiedziliśmy zewnątrz i wewnątrz. Minąwszy linję tramwaju konnego, doszliśmy do głównej stacji kolei wschodnich, wpobliżu Starego Zamku Stambułu czyli Eski-Seraju na południowym brzegu Złotego Rogu.

Dworzec kolei niewielki otaczają piękne kwietniki, klomby krzewów i grupy drzew. Dla wypoczynku usiedliśmy w cieniu na ławce pod ścianą dworca. Po odejściu Orjent-ekspresu, pociągu luksusowego z wagonami sypialnemi, salonami i jadalnemi wprost do Paryża, wkrótce wyruszył jeden z licznych pociągów lokalnych tureckich, do którego wsiedliśmy zaraz. Pociąg nasz okrążył powoli wielkim łukiem brzegi przylądka Eski-Seraju, jego świetne pałace i wspaniałe ogrody. Minąwszy resztki ruin pałacu cesarzy bizantyńskich nad morzem Marmara, ruszył szybko dalej wybrzeżem wzdłuż południowych przedmieści Stambułu: Kum-Kapu, Jeni Mahalle i Psamatji, zatrzymując się krótko na ich przystankach. Na ostatniej stacji miejskiej pod zamkiem Jedikuty wysiedliśmy aby zwiedzić tę starą cytadelę, obecnie więzienie karne. Po przejściu przez bramę główną, jeden z dozorców oprowadził nas wokoło dziedzińca wewnętrznego. Wpośrodku w cieniu grupy starych platanów i cyprysów kryje się am mały meczet z białym minaretem. Stare grube mury z parapetami i schodami oraz szczyty wież ogromnych porasta zielsko bujne.

Zamek siedmiu wież, po turecku zwany Jedi-Kule, po grecku Heptapyrgon, zbudowany został na miejscu jakie zajmowała prastara twierdza kolista zwana Cyklobion w zamierzchłych czasach założenia Bizancjum. Pierwotnie miał tylko 5 wież obronnych. W r. 1350 przebudował ją Kantakuzen dodając jeszcze dwie wieże i zamczysko marmurowe nazwane Heptapyrgon. Mahomet, zdobywca Konstantynopola, zastał ten zamek w ruinach i odbudował go wznosząc wysokie i bardzo grube mury. Starożytna ta twierdza była oddawna więzieniem stanu czyli politycznem, podobnie jak Bastylja w Paryżu, Tower w Londynie, Petropawłoska Krepost' w Piotrogrodzie i nasza cytadela w Warszawie. Wszędzie tam działy się rzeczy straszne. Ohydne zbrodnie tyranji dyspotycznej, morderstwa tajne i tortury okropne. W Jedikule, Janczarowie, owi pretorjanie carogrodzcy w czasie swej wszechwładzy więzili sułtanów strąconych z tronu i dusili okrutnie. Siedmiu sułtanów uległo temu losowi. Potem również niezliczona liczba wezyrów i innych dygnitarzy tureckich. Wtrącano tam nawet posłów i ambasadorów państw, z któremi Turcja prowadziła wojnę. Wielu też znaczniejszych jeńców wojennych, także i polskich jęczało w tych murach ponurych. Przypomniał mi się tam początek rapsodji zadanej nam do deklamowania przez profesora języka polskiego Przeorskiego w progimnazjum prywatnem Hillera w Kielcach:

Kniaź z Wiśniowca w Jedikule,
Za kratami na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu...

Jakiego to wroga mieliśmy na myśli, wiedział każdy, było to bowiem przed naszem powstaniem styczniowem 1863 roku, gdy w Cytadeli warszawskiej więziono już różnych działaczy politycznych i wysyłano na Sybir.

Jedna z baszt Jedikuły najmniej zrujnowana wysoka jest 65 metrów. Widok z jej szczytu wspaniały — na wschód na cały Stambuł z jego wielkiemi meczetami, na zachód na morze Marmara, jego wybrzeża rozkoszne i gaje cyprysowe cmentarzy tureckich. Jedna z baszt obok bramy zewnętrznej zamurowanej, zwanej Złotą Bramą, służyła za więzienie ambasadorów. Pełno w niej pamiątkowych napisów więźniów. Druga baszta tej bramy pamięta czasy najokropniejszych mordów. Na dole w niej znajduje się obszerna izba okrągła, gdzie ścinano tajemnie znakomitszych skazańców, a głowy ich wrzucano do tak zwanej Krwawej studni, nakrytej obecnie wielką płytą kamienną. Dalej znajduje się mały podwórzec, zwany Placem głów. Tam ścinano też mnóstwo skazańców, a głowy ich układano w stos dopóty, aż dosięgnął szczytu wysokiego muru. W następnej wieży jest w podziemiu jaskinia wykuta w skale, gdzie torturowano skazanych na śmierć, aby nie było słychać nazewnątrz ich jęków...

Tak załatwiali się turki-mongoły, ciemiężyciele słowian, aż ich w ostatniej wielkiej wojnie europejskiej wygnano za Bosfor, nad którym echa roznosiły starą pieśń:

Ej, Caregradie u morskoj toni,
Twerda je ruka, ktera te goni!

— — — — — — — — — — — — — —

Hej, Carogrodzie u morskiej toni,
Twarde jest ramię, które cię gromi!

Po zwiedzeniu ponurych więzień, poszliśmy dalej przez ogród pachnący słoneczny wdłuż starych murów bizantyńskich do ostatniej ich baszty olbrzymiej, zwanej Mermer-Kule. Jest to wysoka wieżyca kwadratowa, zbudowana z wielkich bloków marmuru białego z żółtym odcieniem odwiecznym, uwieńczona pięknym gzemsem zębatym. Przez mały placyk wewnętrzny pusty i furtę południową wyszliśmy na wybrzeże morskie również puste i ciche. U stóp muru wieżycy usiedliśmy na złomach kamiennych zrujnowanej tamy czyli molo małej przystani opustoszałej zupełnie. Słońce wrześniowe, dogrzewało tu przyjemnie. Na ciepłym schodzie szerokim, za sterczącemi blokami tamy wykąpałem się momentalnie. Ma tymczasem rozpakowała nasz popas na drugie śniadanie, po którem ruszyliśmy zaraz dalej brzegiem morza za stare mury Stambułu do pobliskiej wsi podmiejskiej Jedikule-Kiej. Przez wąwóz, na dnie którego płynie

rzeczka wpadająca wprost do morza, prowadzi na drugą stronę żelazny most kolei. Brzegi morza zalegają tu kruche skały kenozoiczne z okresu miocenu, z mnóstwem drobnych skamieniałości i odcisków muszlowych. Zebrałem sporo ich pięknych i różnorodnych okazów, i obwinąłem starannie w papier każdy osobno, aby się nie obtarły. Woda morska jest tu przy brzegach płytka, dno obniża się pochyło powoli. Rosną tam liczne gąbki widoczne w wodzie spokojnej w świetle słonecznem.

W pobliskiej kawiarni pod wielkiemi lipami i cyprysami spożyliśmy resztę naszych zapasów na obiad. W stare gazety z pakietu zawinąłem moje okazy petrograficzne i obwiązałem sznurkiem mocno, aby się nie tarły i nie uszkodziły. Po czarnej kawie kupiłem w sadzie pobliskim owoców na podwieczorek i poszliśmy jeszcze nad morze. Na zefirowem przestworzu snuły się jak białe widma żagle szalup rybackich, a na widnokręgu błękitnym tu i owdzie czarne parowce z pióropuszami szaremi dymu. Słońce chyliło się ku zachodowi za obłoki złociste, w końcu skryło się za smugi purpurowe. Ostatni wieczorny pociąg kolei zahuczał po moście żelaznym nad rzeką, poleciał ze świstem do miasta i zniknął za bramą kamienną Jedikulekapu. Zapóźnieni nieco, ruszyliśmy pospiesznie, aby tramwajem powrócić do domu. Atoli dochodząc już do stacji końcowej, ujrzeliśmy o paręset kroków ostatni wagon tramwaju odjeżdżający w drogę...

Radzi, nieradzi spoczęliśmy w pobliskiej kawiarni tureckiej. Gospodarz przyniósł nam zaraz dwie filiżanki kawy i parę szklanek wody, a na moje pytanie potwierdził, że odjechał już ostatni wagon:

— Soon tramwaj, effendi, baszka jok dur.

Sklepy i magazyny już zamykano, zmrok szybko zapadał. Zapłaciłem za kawę i powoli ruszyliśmy pieszo ulicą główną wzdłuż szyn tramwajowych. Księżyc wzeszedł i oświetlił ulice puste. Stambuł cały zaległa cisza nocna. Po przebyciu kilku kilometrów koło meczetu Aja Sofji, spotkaliśmy starego mnicha derwisza z długą halabardą, idącego powoli w milczeniu. Dopiero przy głównym moście Złotego Rogu snuło się więcej przechodniów w obie strony. Za mostem na Galacie ruch nocny jak zwykle był jeszcze ożywiony i gwarny. Na bulwarze nadmorskim jaśniały blaskiem rzęsistym okna wielkich kawiarń i restauracyj. Wstąpiliśmy zaraz do pierwszej przy moście, aby wypocząć po przydługiej przechadzce. Na kolację podano nam ryby morskie smażone, wyborny kompot z owoców mieszanych i pół butelki wina greckiego. Wkrótce potem pośpieszyliśmy na dworzec kolei Tunelu i szczęśliwie dostaliśmy się do domu.

W następną niedzielę, 11 wrzreśnia 1887 r., wybraliśmy się tą samą drogą na dalszą wycieczkę. Na dworcu głównym w Stambule wziąłem dwa bilety do Makrikiej. Jest to wieś na wybrzeżu morza Marmara, o 13 kilometrów od stacji głównej

za Stambułem leżącą, zamieszkała przez greków i armeńczyków, z dużemi sadami owocowemi na rozległej równinie. Pola po żniwach pokryte ściernią, były puste. Po kąpieli morskiej na uboczu spoczęliśmy pod murem starego ogrodu, w cieniu rozłożystych gałęzi jabłoni, zwieszających się szeroko. Spożyliśmy nasz obiad, a po czarnej kawie w pobliskim domu kupiłem świeżych owoców i poszliśmy dalej pieszo drogą nadmorską. Minęliśmy wielkie zabudowania rządowej fabryki prochu t zw. Barut-Hane z warsztatami poruszanemi machiną parową o sile stu koni.

Po przebyciu 4-ch kilometrów drogą między wybrzeżem morskiem a torem kolei żelaznej, doszliśmy do San-Stefano, wsi słynnej zawarciem traktatu pokoju w dn. 3 marca 1878 r. pomiędzy Turcją a Rosją. Zabudowania wsi zajmują tu cały klin przylądka z pięknemi ogrodami. Wpośród nich bieleje w słońcu willa, w której mieściła się kwatera główna sztabu ruskiego. Po podwieczorku i czarnej kawie w sąsiedniej kawiarni, poszliśmy drożyną polną na wzgórze, na którem leży mały cmentarz, obejmujący kilkadziesiąt mogił żołnierzy ruskich. Pokrywa je gęsta trawa, a po bokach płaskie kamienie ułożone mocno i starannie. W pośrodku atoli leżał na ziemi wielki krzyż trójramienny prawosławny z białego marmuru wykuty, a obalony być może fanatyczną ręką mahometańską. Po krótkim wypoczynku pośpieszyliśmy stamtąd napowrót na pobliską stację kolei. Pociągiem wieczornym wróciliśmy do miasta szczęśliwie na kolację domową.

Za San-Stefano już tylko jedna stacja kolei orjentalnej leży nad brzegiem morza Marmara w odległości 22 kilometrów od dworca głównego, t. j. Kuczuk-Czekmedże. Tam więc w niedzielę następną 18 września 1887 wybraliśmy się na ostatnią wycieczkę w tamtą stronę. Dalej bowiem kolej żelazna zatacza łuk ku północy i odbiega coraz bardziej od morza, a jej małe stacje nie są interesujące.

Kuczuk-Czekmedże jest to typowa śliczna wioska turecka, tonąca w bujnych sadach owocowych. W pośrodku bieli się mały meczet drewniany z wysmukłym minaretem. Rzeczka, wpadająca tam do morza, tworzy długi liman, zarośnięty wokoło gęstym oczeretem i kępami sitowia, podobnie jak i dalsze płaskie brzegi strumienia. Po kąpieli morskiej na ustroniu pod osłoną zarośli, po obiedzie i czarnej kawie w pobliskim domku miejskim, kupiłem ładnych owoców na podwieczorek i poszliśmy dalej ścieżką na sąsiednie wzgórza słoneczne. W oddali słychać było strzały myśliwych, polujących na ptactwo wodne, w jakie obfituje ta okolica. Nazbierałem więc sporo suchych gałęzi leszczyny i rozpaliłem wielkie ognisko dymiące obficie, jako sygnał zabezpieczający przed strzałami. Na podwieczorek upiekliśmy w popiele gorącym smaczne jabłka do cukru miałkiego, wziętego z domu w pakiecie. Gdy jednak strzały coraz bliżej

było słychać, wyruszyliśmy stamtąd z powrotem, aby uniknąć zabłąkanej kuli.

Na dworcu kolei czekali już na pociąg liczni myśliwi, objuczeni obfitym łupem bekasów, derkaczy, kurek wodnych i t. p. z wyżłami zabłoconemi na smyczach. Wkrótce zahuczał po moście żelaznym nasz pociąg i zatrzymał się dłużej na stacji Mimo natłoku podróżnych, zdobyliśmy wygodne miejsca i niebawem pędziliśmy wybrzeżem morskiem, zatrzymując się krótko na małych przystankach przedmiejskich San-Stefano, Makrikiej, Jedikulekiej, oraz miejskich Psamatja, Jeni-Mahalle i Kum-Kapu. Na dworcu głównym minęliśmy pociąg ekspres-orjent, króry wyruszył w drogę za granicę. Przebywszy pieszo wielki most Złotego Rogu, koleją podziemną Tunelu dostaliśmy się wkrótce na Perę.

Na górnym dworcu kolei Tunelu olbrzymie afisze kolorowe ilustrowane jaskrawo obwieszczały przybycie świetnego cyrku Godeffroy i pierwsze przedstawienie o godzinie 9-tej w sąsiedztwie ogrodu publicznego w pobliżu. Więc zaraz po herbacie domowej na zakończenie wieczoru wybraliśmy się tam. Wziąłem dwa bilety do krzeseł amfiteatru, zdala od rampy. I dobrze się stało Bo wkrótce po rozpoczęciu przedstawienia wspaniały kary ogier arabski, prezentowany z wolnej ręki przez dyrektora cyrku, podcięty biczem zbyt silnie, spłoszył się, i zamiast do stajni, skoczył nagle w bok w główne wejście dla widzów od ulicy, przewalił barjerę i z trudnością zdołano go zazawrócić. Dalsze numery przedstawienia odbyły się spokojnie i przed północą wróciliśmy do domu.

Po zwiedzeniu obu wybrzeży Bosforu, Złotego Rogu i morza Marmara w pobliżu Stambułu, wypadło nam tego lata jeszcze zrobić kilka wycieczek na sąsiednie Wyspy książęce.

Archipelag ten należy do najpiękniejszych miejscowości okolic Konstantynopola. Położony jest wpobliżu ujścia Bosforu do morza Marmara, w odległości 15 kilometrów od mostu głównego Stambułu, skąd odchodzą tam parowce osobowe Towarzystwa Mahsuse trzy razy dziennie, w kierunku południowo-wschodnim. W starożytności zwał się Demonezi, póżniej Papadonizia cz. Księże wyspy z powodu licznych klasztorów. Obecnie zwią się Wyspy książęce, gdyż służyły one za letniska oraz za miejsce wygnania i więzienia książąt bizantyńskich popadłych w niełaskę lub podejrzanych o spiski polityczne. Klimat tych wysp jest łagodny i bardzo zdrowy, powietrze czyste morskie, wolne od kurzu i dymu wielkomiejskiego. To też dużo tam pięknych willi bogaczów i hoteli dla turystów. Latem przebywa tam mnóstwo stałych mieszkańców Konstantynopola na wilegjaturze, Archipelag ten składa się z dziewięciu wysp różnej wielkości, t. j. pięciu małych i czterech większych. Do najmniejszych należą położone najdalej dwie wysepki, płaska Platija i wzgórzysta Oksija, obie puste, niezamieszkałe. Bliżej wysp

większych leży trzy małe wysepki: Pita, Neandros i Anterobintos też niezamieszkałe. Cztery większe wyspy bogato zabudowane i zaludnione: Proti, Antigoni, Halki i największa Prinkipo mają przystanie morskie, w których zatrzymują się regularnie parowce osobowe.

W niedzielę 25 września 1887 r. w dzień pogodny i gorący, jak zwykle wczesnym rankiem po śniadaniu w domu, wybrałem się z Ma na Wyspy książęce parowcem odchodzącym od mostu głównego. Przystań mieści się zaraz przy wejściu na most wpobliżu bulwaru Galaty, z osobną kasą gdzie wziąłem dwa bilety na pierwszą wyspę Proti. Parowiec zapełniali już powoli pasażerowie. Zajęliśmy wolne miejsce na pokładzie na ławce tuż obok przejścia do przedziału damskiego dla turczynek, aby przyglądać się ich strojom. Naostatku weszła tam jeszcze stara turczynka z córką i usiadła za płócienną zasłoną blisko nas. Parowiec ruszył w drogę. Zrazu przez Bosfor płynął spokojnie. Na pełnem morzu dopiero na szerokich falach zaczął się kołysać i bujać. Stara turczynka, która może pierwszy raz odbywała taką daleką podróż, wydawała ciągle okrzyki trwogi, jakby już parowiec miał tonąć:

— Allah! Allah! aman, aman!

Aman! miało znaczyć, że już koniec i po wszystkiemu. Młoda córka odważniejsza uspakajała matkę tuląc ją do siebie i zapewniając, że już wkrótce wylądują. Przejazd trwał blisko godzinę. Parowiec zatrzymał się w pierwszej przystani wysepki Proti. Wysiadło kilku pasażerów, owa stara turczynka z córką, która jechała w odwiedziny do krewnych, i my także. Zabrawszy paru pasażerów, parowiec odjechał zaraz do następnej wyspy Antigoni.

Na wyspie Proti wpobliżu przystani w domu piętrowym murowanym, z werandą ocienioną powojami, była mała kawiarnia, restauracja i pokoje gościnne. Dalej sady owocowe, kilkanaście domków wiejskich, zamieszkałych przeważnie przez armeńczyków, pastwiska i zarośla. Na wzgórzu wpośrodku mały kościołek armeński ś. Jerzego. Wybrzeże północne tej wysepki jest lekko pochyłe, południowe strome skaliste. Wpobliżu przystani widać ruiny starej cysterny wpośród skał czerwonych. Zresztą nic interesującego. Po małej przechadzce wstąpiliśmy do kawiarni na czarną kawę z wodą dla ochłodzenia się. Wkrótce przed południem przybył ze Stambułu drugi parowiec do przystani. Kupiłem dwa bilety do następnej wyspy Antigoni, położonej o 3 kilometry dalej na południe. W kilkanaście minut przybyliśmy do małej przystani położonej na wschodnim brzegu wyspy wpośród pięknych ogrodów i willi, zamieszkałych prawie wyłącznie przez greków. Na wysokiem wzgórzu znajduje się tutaj dwa kościoły. Jeden ś. Jerzego, drugi Przemienienia odbudowany na ruinach starego klasztoru greckiego.

Prosto z przystani, minąwszy bujne sady owocowe, skierowaliśmy się na słoneczne wybrzeże południowe, pokryte grubym piaskiem śnieżnej białości z drobnemi łuskami miki błyszczącemi jak srebro. Wąską ową plażę osłaniała stroma skała piaskowca białego kruchego, ciagnąca się przeszło pół kilometra, równolegle do brzegu, porosła u góry trawą i gęstemi krzakami. Drogę dalszą zamykały wpoprzek skały czarne wysoką ścianą pionową niedostępną. U jej stóp wielkie złomy skalne osłaniały małą zatokę zaciszną. Szerokie fale morskie szumiały wokoło rytmicznie. Słońce dogrzewało. Na głazach płaskich ciepłych spoczęliśmy tuż nad wodą. Rewolwer buldog nabity oddałem Ma, aby czuwała na straży. Rozebrałem się szybko wykąpałem i ubrałem się zaraz powoli. Potem ja siedziałem na czatach, aby Ma kąpała się swobodnie. Po wyjściu z wody usiadła na czarnym złomie skały naga biała, aby obeschnąć na słońcu. Wyjąłem mój album i naszkicowałem szybko ten śliczny obrazek czarnym ołówkiem z mocnym światłocieniem. Ma ubrała się pomału i zaraz potem wróciliśmy ku przystani parowców. Na pobliskiem wzgórzu w cieniu starych dębów I buków na trawniku, rozłożyliśmy nasz pakiet z wiktuałami dla spożycia obiadu. Po deserze owocowym poszliśmy na czarną kawę pod werandę sąsiedniego hotelu. Po przejrzeniu świeżych gazet, kupiłem dwa bilety w przystani, gdzie wkrótce nadpłynął parowiec powracający z ostatniej wyspy Prinkipo do miasta. Wieczór jak cały dzień był pogodny i ciepły. W godzinę przybyliśmy do wspaniałego zawsze portu Stambułu, ozłoconego purpurą zachodzącego słońca, a wkrótce potem koleją Tunelu do domu na kolację.

Zaraz w następną niedzielę 2 października, korzystając z pięknej pogody słonecznej, wybraliśmy się parowcem wprost na wyspę Halki cz. Miedzianą, odległą 22 kilometry od mostu Stambułu. Nazwa jej pochodzi od starych kopalń miedzi, po których pozostały liczne żużle. Wyspę tę zdobi kilka wzgórz i piękna głęboka dolina, która je przedziela wpośrodku. Za szerokim bulwarem przystani, wpośród bujnych ogrodów piętrzą się świetne wille i hotele, przeglądające się w głębokiej wodzie zatoki tak przezroczystej, że głęboko na dnie widać rośliny morskie i skały. Ludność prawie wyłącznie grecka liczy tam około 3000 głów. Na wybrzeżu nalewo od przystani wznosi się wielki gmach z minaretem, mieszczący Szkołę morską, założoną w r. 1860. Dalej na wzgórzu widać drugi gmach poklasztorny odnowiony w r. 1844 dla pomieszczenia szkoły teologicznej i seminarjum wschodnio-greckiego, z bogatą bibljoteką i cennemi staremi rękopisami. Trzeci gmach też poklasztorny, zbudowany przez Jana Paleologa, został odnowiony w r. 1786 przez księcia Aleksandra Ipsilantiego, a w r. 1831 bogaci negocjanci konstantynopolscy założyli tam akademję handlową, w której kształci się około 200 pensjonarzy. Po zwiedzeniu wielkiej bibljoteki

tamtejszej i zbiorów przyrodniczych, wstąpiliśmy do kawiarni nadbrzeżnej na czarną kawę z wodą dla orzeźwienia się.

Zaraz potem wybrzeżem morskiem wyruszyliśmy dalej do pobliskiego lasu sosnowego ocieniającego słoneczne zbocza góry sąsiedniej. Słońce było już wysoko i dogrzewało mocno. Rozkoszny aromat żywiczny sosen i kwiecia dzikiego upajał. Niebawem doszliśmy do głębokiego wąwozu, którego strome skały wysokie osłaniały wąską zatokę z przeczystą wodą przy brzegu pochyłym. U stóp skały pionowej, leżał jej odłam płaski długi, jakby ława wykuta umyślnie do siedzenia ze schodem niskim tuż nad wodą. Ma na trawniku położyła się wpobliżu na straży, a ja na ławie rozebrałem się szybko i skoczyłem do wody. Woda była chłodna choć słońce dogrzewało, więc po krótkiej kąpieli ubrałem się zaraz, i poszedłem na czaty obok, aby Ma mogła wykąpać się bezpiecznie. Wąwozem skalnym poszliśmy dalej wgórę między sosny na słońce. Na obiad mieliśmy jak zwykle pieczeń baranią, bułki, ser, masło i owoce. Na małej maszynce spirytusowej zrobiłem herbatę na wodzie wziętej z domu w butelce. W lesie było słonecznie i zacisznie. Tylko gruchanie dzikich gołębi czyli turkawek i świergot ptactwa rozlegał się echem po szerokiem przestworzu nadmorskiem. Po długiej przechadzce po lesie wróciliśmy na bulwar przystani na czarną kawę. Kupiłem dwa bilety na pokład i ostatnim parowcem wieczornym wróciliśmy do miasta.

Nazajutrz w magazynie naszym odebrałem nowy transport towaru z Warszawy. Po sprawdzeniu faktur i zaksięgowaniu przezemnie, pomocnik mój p. Juljan zmienił wszystkie wystawy w czterech oknach, a resztę pakietów ułożył w szafach pakameru. Sprawozdanie i rachunki miesięczne wysłałem jak zwykle w liście poleconym do zarządu głównego naszej fabryki.

Podczas długich wieczorów pracowałem w dalszym ciągu nad moją Historją dziennikarstwa. Ma przeglądała świeże czasopisma i czytała powieści w odcinkach. Po przechadzce wieczornej szliśmy czasem na operetę w Teatrze francuskim przy Wielkiej ulicy Pera, albo na koncert w Ogrodzie miejskim.

Ale najmilszą rozrywką były dla nas wycieczki morskie i leśne pół dzikie, za któremi Ma przepada. To też z upragnieniem wyczekiwaliśmy niedzieli, aby módz wyrwać się na dłużej z wielkiego miasta. 9-go października 1887 r. wybraliśmy się na nieznaną nam jeszcze wyspę Prinkipo, największą z archipelagu Wysp książęcych. Jak zwykle pierwszym parowcem porannym z przystani przy głównym moście Stambułu, wyruszyliśmy z zapasem żywności na cały dzień.

Wyspa Prinkipo, odległa od Stambułu 24 kilometry cz. $3^1/_2$ mili, ma około 8 mil obwodu. Stanowi ją dwie wielkie góry oddzielone od siebie głęboką doliną. Przystań parowców obszerna leży tam na zachodniem wybrzeżu góry północnej, u stóp której piętrzą się hotele i piękne wille wpośród bujnych ogro-

dów, oraz cztery kościoły: dwa z nich greckie, jeden armeński i jeden katolicki. Ma wstąpiła tam zaraz na mszę poranną a ja tymczasem kupiłem w przystani parę świeżych gazet i winogron. Potem powędrowaliśmy wybrzeżem daleko za miasto, aby na ustroniu za wysokiemi skałami wykąpać się w małej zatoce morskiej. Dzień był gorący słoneczny więc po kąpieli pod wielkiemi sosnami na mchu miękkim, wpośród paproci i ziół pachnących rozłożyliśmy się wygodnie dla spożycia naszego obiadu. Herbatę naparzyłem na małej maszynce spirytusowej, na wodzie wziętej z domu we flaszce. Albowiem na wyspie Prinkipo niema wcale wody do picia; dowożą ją z pobliskiego Kartalu z wybrzeża azjatyckiego. Widok stąd gdzie spoczywaliśmy, na wyspę Halki pobliską i inne pomniejsze wysepki w dalekiej perspektywie był przecudny, przypominający bardzo zatokę Neapolitańską. Na lazurowym widnokręgu morskim majaczyło zamglone widmo Stambułu z jego szaremi kopułami meczetów i minaretami..... U stóp naszych szeroką szosą okrążającą główną górę Prinkipo snuły się zwolna powozy spacerowe, a tu i owdzie konno turyści zwiedzający wnętrze wyspy. Dwóch anglików zatrzymało się wpobliżu, zsiedli z wierzchowców i zapłacili koniarzy, ci wracając do miasta wolno i zaproponowali nam wycieczkę konną. Ma, która się wychowała i długo przebywała na wsi harcowała tam często wierzchem, więc dosiadła zaraz karego arabczyka ja drugiego, i zrazu wolno stępa potem raźniej kłusem puściliśmy się szosą ponad wybrzeżem, a dalej wielką śliczną doliną przecinającą wpoprzek Prinkipo między górami, na drugą stronę wyspy. I tu widok na pełne morze i pobliskie brzegi Azji górzyste, ozłocone promieniami zachodu słońca był wspaniały. Atoli, dojeżdżając już do miasta, ujrzeliśmy parowiec odpływający z przystani do Stambułu. Według objaśnienia koniarzy, byłto ostatni wieczorny statek powrotny. Radzi nieradzi, musieliśmy pozostać w Prinkipo do jutra rana. Dojechaliśmy do przystani, zapłaciłem koniarzy, i dowiedziałem się, że nazajutrz raniutko o godzinie 6-ej parowiec z Kartalu wstępuje do przystani Prinkipo, a przed 8-mą rano przychodzi do Stambułu.

Na bulwarze nadmorskim ruch wieczorny był jeszcze ożywiony, kawiarnie i restauracje pełne. Wpobliżu na bocznej ulicy stromej, na werandzie małego hotelu ocienionej zielenią z widokiem na morze, zasiedliśmy by wypocząć po ruchu całodziennym. Na kolację podano nam wyborne ryby smażone z pomidorami, figi świeże i wino krajowe łagodne. Zapytałem gospodarza w bufecie o nocleg. Objaśnił, że ma tylko parę małych pokoi gościnnych, które właśnie odmalowano świeżo i są nieumeblowane, ale może nam dać na nocleg swoją salę balową na I piętrze— i zaraz nas tam zaprowadził ze światłem. Na ogromnej sali z piękną posadzką froterowaną, ze świetnym żyrandolem wpośrodku wysokiego sufitu pod złocistą rozetą

w postaci słońca, stały dwa łóżka posłane pod ścianą, obok dwie umywalnie pokryte białym marmurem, kilka wielkich zwierciadeł pomiędzy oknami, a w rogu duże pianino z kandelabrami i drzwi otwarte na balkon z widokiem dalekim na morze... Zapytałem gospodarza, ile policzy za ten królewski komfort.

— Tyle, ile za mały pokój zwyczajny!

— Poli kalo, brawo! zawołałem i prosiłem tego poczciwego greka, żeby nas kazał obudzić nazajutrz o świcie raniutko o 5-tej godzinie, abyśmy mogli pierwszym parowcem jadącym do Stambułu, wrócić do domu koniecznie. Zamówiłem zarazem na śniadanie kawę białą, bułki i masło:

— Kafe meta gala, psomi ke butiro.

A że jeszcze było niepóźno, zapytałem, czy możemy sobie zagrać trochę na pianinie. Gospodarz uprzejmie otworzył je zaraz, zapalił świece w kandelabrach i przysunął taboret. Dziękując życzyłem mu dobrej nocy i on nam wzajemnie:

— Kalinichta sas, kalinichta!

Zamknąłem drzwi na klucz i szerokiemi krokami zacząłem mierzyć nasz salon wzdłuż i wpoprzek. Był 20 kroków długi i tyleż szeroki. Tapety jasnobłękitne z wieńcami róż, kilkanaście kinkietów ze świecami stearynowemi i biały posąg alabastrowy naturalnej wielkości bachantki tańczącej, nadawały wesoły nastrój tej świątyni Terpsychory.

Ma tymczasem przy pianinie nuciła zcicha przy łagodnym akompanjamencie mój ulubiony walc z „Dzwonów kornewilskich“:

J' aż fait trois fois
Le tour du monde,
Et les dangers
Font mon plaisir!

Na sali było gorąco, bo ją wygrzało przez cały dzień słońce przez duże okna wychodzące wprost na południe. Więc wyniosłem dwa krzesła na balkon otwarty z widokiem rozległym na morze. Księżyc wzeszedł. Długa smuga srebrzysta zajaśniała na falach, szumiących rytmicznie po wybrzeżach skalnych. Łagodny powiew z lasu niósł aromat żywiczny, taki sam, jak w naszych puszczach polskich. I długo jeszcze siedzieliśmy tam w milczeniu i ciszy nocnej, aż nas sen zmorzył zupełnie...

O świcie, punktualnie o 5-tej, zapukano do drzwi. Ubrany już zupełnie poszedłem je otworzyć. Garson hotelowy postawił nam na stole tacę ze śniadaniem: imbryk z kawą czarną, dzbanek z mlekiem gorącem, cukierniczkę, maselnicę i bułki. Ma zaraz nalała dwie szklanki kawy. Osłodziłem moją, skosztowałem i straszna rozpacz mną zaszarpała. Kawa miała nieznośny smak koziego mleka, tak przykry, że niepodobna było jej przełknąć. Ma również nie mogła pić swojej. Wylała obie szklanki na miednicę, popłukała wodą i nalała samej kawy czarnej, którą wypiliśmy z bułkami. Na dole w bufecie zapłaciłem wszystko

i pośpieszyliśmy zaraz do przystani. Wkrótce nadpłynął z Kartalu pierwszy parowiec poranny. Do mostu głównego w Stambule przybyliśmy o godz. 7½. Koleją Tunelu punktualnie o 8-ej godzinie jak zwykle byłem już w naszym magazynie, którego drzwi rolowe Hamparzum tylko co otworzył. Ma poszła do domu na drugie śniadanie, na kawę z wybornem mlekiem, jakie nam codzień przynosił nasz bółgar.

Korespondencje moje p. t. „Listy ze Wschodu" pisywałem stale do warszawskiego „Przeglądu tygodniowego", a czasopismo to i kilkanaście innych, przysyłanych mi bezpłatnie przez redakcje, oddawałem po przejrzeniu do czytelni miejscowego „Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy i dobroczynności" na ręce jego prezesa Adama Michałowskiego. Dla ożywienia czytelnictwa wpośród członków tego stowarzyszenia ofiarowałem też z mojej bibljoteki nowe książki i broszury od czasu do czasu. Także dużą Mapę Polski dla umieszczenia na ścianie w sali zebrań Towarzystwa, aby przypominała daleką ojczyznę. Oprócz tego dałem tam kilka fotografij znakomitych pisarzy polskich oraz duże portrety litograficzne Henryka Sienkiewicza i J. I. Kraszewskiego, które w odpowiednich ramach zostały zawieszone obok Mapy Polski.

Dla pomnożenia tych zbiorów rozpisałem listy do znakomitych pisarzy i autorek polskich z prośbą o nadesłanie ich fotografij, których brakowało. Otrzymałem je wkrótce. A z Grodna od Elizy Orzeszkowej list z dn. 28 września 1887 r., który tu podaję jako oświetlający jaskrawo nasze ciężkie stosunki tyranji ówczesnej caratu moskiewskiego:

„Szanowny Panie!

„Niezmiernie wdzięczna za okazaną mi pamięć, z żalem widzę się w niemożności zadośćuczynienia miłemu i zaszczytnemu żądaniu Pana mojej fotografji, nie posiadam bowiem ani jednej. Rozumiem dobrze, iż wobec rozpowszechnienia sztuki fotograficznej, fakt ów wydawać się może nieprawdopodobnym, ale tłomaczą mię zupełnie wyjątkowe okoliczności śród których żyję. Od lat sześciu *żyję pod ścisłym dozorem policji*, odbierającym mi prawo wyjeżdżania z Grodna, niedużego i wielce mizernego miasta, w którem oddawna stale przebywam. Miasto owe posiada jedynego fotografa, który przed dwoma przeszło laty uległ klęsce wielkiego pożaru, i zaledwie teraz, z bardzo lichemi narzędziami pracować znowu zaczyna. Przez te sześć lat raz jeden z wielkiemi trudnościami pozwolono mi wyjechać do Warszawy tylko na dni dziesięć. Zajęta więc sprawami, które tam załatwić miałam i dawno niewidzianymi przyjaciołmi, o wizycie u fotografa nawet nie pomyślałam. Fotografje, które przed uwięzieniem mojem w Grodnie posiadałam, rozeszły się oddawna pomiędzy ludźmi. I oto przyczyna, dla której tak prostego a zarazem tak drogiego życzenia Pana spełnić nie mogę. Ale zachowam je w pamięci jako drogocenny objaw sympatji

współziomków i przy pierwszej możności spełnić pośpieszę. Tymczasem zasyłając najlepsze życzenia dla sympatycznej tamtejszej Instytucji proszę o przyjęcie wyrazów głębokiego szacunku i serdecznej braterskiej życzliwości". *El. Orzeszkowa.*

Jan Maurycy Kamiński, kolega mój uniwersytecki i dawny przyjaciel, podówczas znakomity adwokat przysięgły w Warszawie, założyciel tamtejszego Ogrodu zoologicznego, ze swoją fotografją przysłał mi list na blankiecie z nagłówkiem oficjalnym:

„Muzea i gabinety przy Ogrodzie Zoologicznym w Warszawie, ulica Bagatela, nr 3, dnia 3 października 1887 r. № 86.

„Kochany Stachu! Wielką mi Twoim listem sprawiłeś radość. Dowiedziałem się z niego chociaż ogólnikowo co się z Tobą dzieje. Odpisuję też od ręki, co mi w stosunku np. do moich klientów, niezawsze się zdarza. Konterfekt mój załączam.

„Nadesłany spis numizmatów zakomunikuję tutejszym kolekcjonistom, może mi się uda załatwić Twe zlecenie. Ja się z nimi bezpośrednio nie znam, ale wyszukam ich z łatwością, chociażby podług Katalogu urządzonej w zeszłą zimę czasowej Wystawy starożytności i sztuki, na której widziałem parę zbiorów monet; zresztą przepytam się między ludźmi i o rezultacie mych usiłowań natychmiast doniosę.

„Pytasz mię o losy naszego Muzeum. Naumyślnie piszę na blankiecie z numerem, aby dowieźć iż..... mamy już blankiety, i że 86-ty list piszę w sprawie młodej instytucji. Tak jest będę Ci o niej pisać, i to będzie z niewątpliwym pożytkiem. Otóż prócz działu historji naturalnej (gabinety: mineralogiczny, botaniczny i zoologiczny) otwieramy muzeum etnograficzne — to będzie moje ulubione dziecię. Mamy tedy już kilkaset okazów wypchanych fauny (jest trochę z naszego ogrodu zoogicznego, a reszta z darów pochodzi); kilka tysięcy minerałów, które obecnie porządkujemy. W dziale etnograficznym mamy cały zbiór Kameruński od Leopolda Janikowskiego, trochę chińszczyzny od Beniego, kilka krajowych kostiumów, czepców, narzędzi oryginalnych i t. p. Od Dudrewicza fotografje z Cejlonu, z Kołomyi i Krakowa (typy ludowe) i t. p. Jednem słowem początek jest. Układamy to wszystko, porządkujemy a za parę tygodni otwieramy.

„Przez korespondencję mam już z tuzin poważnych obietnic z całego globu. Brak mi tylko Carogrodu — Carogród to Ty!

„O jak to dobrze, iż pracując w analogicznym kierunku, będziemy się mogli zamieniać. Jakie książki gromadzicie do waszej Bibljoteki? Co zbieracie w Muzeum? Jeżeli mogę być w czem użyteczny, rozporządzaj mną, wzamian przysyłaj na początek cokolwiek. Z takiego miasta to tak łatwo! Prosty np. turecki kalendarz lub elementarz (książka im cieńsza, tem łatwiejsza do przesyłki) już będzie u nas osobliwością. Co do fotografij typów bałkańskich, czyż ich niema już w Konstanty-

nopolu? Zresztą musi tam być, mimo wpływu Zachodu, jeszcze wiele przedmiotów codziennego użytku, których u nas nie zna przeciętny warszawiak, a które jego uwagę pożytecznie i przyjemnie zająć mogą. Od ciebie dostaniemy takich rzeczy po cenie kosztu, w drodze zamiany lub za gotówkę. Nieprawdaż? Mój kochany Stachu! weź to do serca. Pisz od ręki, a ja także natychmiast pisać będę i służyć Ci, czem każesz, wmiarę możności mojej. Ściskam Cię serdecznie — Twój

J. M. Kamiński.

Na list powyższy odpisałem natychmiast. A potem niezwłocznie na początek pocztą pod opaskami poleconemi wślad za nim poszły: Mapa Bosforu ilustrowana widokami i typami z okolic miejscowych, kilkadziesiąt fotografij różnych typów etnograficznych bałkańskich i orjentalnych, tureckie kalendarze i elementarze wielobarwne i t. p.

W niedzielę 16 października 1887 r., rano po pierwszem śniadaniu, wybrałem się z Ma do Wielkiego Bazaru t. zw. Bujuk Czarszi w Stambule dla zakupu różnych naczyń i narzędzi domowych typowo tureckich dla Muzeum etnograficznego w Warszawie, według życzenia kolegi Kamińskiego. Zwiedziliśmy główne dzielnice tego rozległego Bazaru, który obejmuje kilkadziesiąt ulic i uliczek pokrytych sklepieniami i kopułami dla światła. Dostanie tam wszystkiego. Począwszy od spinek z półksiężycami i barwnych chusteczek jedwabnych, naczyń, łyżek, łyżeczek, noży i sztyletów, korali, pereł, drogich kamieni, biżuterji, aż do wielkich dywanów perskich, broni siecznej i palnej bogato zdobionej, starożytności wszelkich, a wreszcie starzyzny przeróżnej w zakątkach t. zw. Bit-bazaru. Zakupione przedmioty opakowałem starannie w papier wzięty z domu i obwiązałem sznurkiem. Z Bazaru, po wypoczynku wpobliżu na ławce przed Bibljoteką publiczną turecką, poszliśmy między stragany z książkami, gdzie zakupiłem jeszcze kilka broszur ludowych jaskrawo ilustrowanych i dołączyłem je do naszego pakietu.

Wracając, zwiedziliśmy jeszcze sąsiedni wspaniały meczet sułtana Bajazyda, otoczony stadami gołębi miejsowych. Dalej po drodze przez wielki Plac broni z olbrzymią wieżą i gmach Seraskeratu cz. Ministerstwa wojny, zeszliśmy na dół na plac wielkiego meczetu Sulejmanje, jednego z najpiękniejszych zazabytków architektury tureckiej. Po zwiedzeniu go zewnątrz i wewnątrz, wypoczęliśmy dłużej w kawiarni na wybrzeżu Złotego Rogu. Wreszcie kaikiem dwuwiosłowym przepłynęliśmy przez Złoty Róg na wybrzeże Galaty, a stamtąd koleją Tunelu do domu na obiad.

Zakupione przedmioty różne: łyżki i łyżeczki fasonów orjentalnych z drzewa, kości i rogu, noże krótkie i długie w pochwach przyboczne, filiżanki bez uszek czyli czarki ze spodkami różnobarwne, naszyjniki z monet, kolczyki, zapinki z półksiężycami i t. p., upakowane starannie w skrzyneczce drewnia-

nej, wysłałem nazajutrz dla warszawskiego Muzeum etnograficznego przez pocztę Agencji żeglugi ruskiej przez Odesę, pod adresem J. M. Kamińskiego.

Kolega Jan Maurycy Kamiński, starszy odemnie o trzy lata, urodził się w Warszawie w r. 1844. Ukończywszy Instytut pedagogiczny w Radzyminie, był jakiś czas nauczycielem ludowym, potem sekretarzem kancelarji podrzutków w starym Szpitalu Dzieciątka Jezus na Placu Wareckim. Po otwarciu Szkoły głównej wstąpił na wydział prawny, który ukończył z dyplomem magistra prawa i administracji. Był obrońcą przy Trybunale cywilnym, a następnie słynnym adwokatem przysięgłym przy Sądzie okręgowym w Warszawie. Mając duże dochody z adwokatury, założył w parku na Pradze Ogród zoologiczny, przeniesiony następnie do ogrodu i willi Bagatela w pobliżu Belwederu. Zwierzyniec ten z powodu wielkich kosztów utrzymania i administracji a małej frekwencji i braku poparcia musiał być zwinięty. Natomiast w pałacu Bagatela założono Muzeum etnograficzne i przyrodnicze, które z czasem rozwinęło się pomyślnie. J. M. Kamiński okrom wielu cennych artykułów w sprawach społecznych, pomieszczanych w czasopismach warszawskich, napisał i wydał rozprawy: O sposobach uczenia czytać (1868 r.), Dodatek do ustnego wykładu geografji (1869 r. wyd. II 1873 r.), O prostytucji (nakładem mojego Wydawnictwa r. 1870, wyd. II 1875 r.), Nauka czytania (1874 r.). Słynny też był jako obrońca w sprawach polityczno-karnych i jako znakomity prelegent. Z odczytów jego drukowano: O stosunku poezji do życia społecznego (w „Przeglądzie tyg." 1872 r)., O podziale pracy (Tydzień 1873), O niepoczytalności i niepoczytaniu (Gazeta sądowa 1873 r.), O nieletnich przestępcach („Tydzień 1874). Przez pewien czas był też redaktorem warszawskiego tygodnika satyrycznego „Kolce".

W rok po założeniu naszego magazynu, w końcu października 1887 r., w ostatnią sobotę po południu, w porze gorącej poobiedniej, wtoczył się do nas otyły jegomość w czarnym tużurku, zapiętym urzędownie pod szyję, w czerwonym fezie, z dużą brodą ciemną, z teką skórzaną pod pachą. Pokłonił się ręką trzykrotnie, witając nas po turecku:

— Sabahlar hair olsun! (Błogosławionego dnia Wam życzę).

Służący nasz Hamparzum przysunął mu krzesło i szepnął mi, że to jest kasjer z sąsiedniego Magistratu Pery, czyli Municypalności. Powitałem go takoż po turecku, prosiłem spocząć i zapytałem, czem mogę służyć? Objaśnił, że przyszedł zapisać nasz magazyn do regestru podatkowego Magistratu Pery i wyjął z teki grube kwitarjusze. Odpowiedziałem mu, że:

— Stosownie do przepisów nas obowiązujących i traktatów handlowych, opłacamy już stale bardzo duży podatek 8% od wartości sprowadzonego towaru na Komorze celnej Mum-Hane, na co posiadamy formalne kwity. A według informacyj

naszego Konsulatu nie jesteśmy obowiązani do żadnych innych podatków miejscowych, tak samo jak nasz sąsiad p. Streater, właściciel angielskiego magazynu galanteryjnego obok. Opłacamy tylko co miesiąc regularnie naszych stróżów nocnych cz. begdżi ze Związku kupieckiego prywatnego, z powodu, że Municypalność nie zapewnia dostatecznie bezpieczeństwa naszych magazynów.

Kończąc, poczęstowałem kasjera dobremi papierosami i zawołałem stojącego przed drzwiami otwartemi kawiarza turka:

— Wer czabuk iki filiżan kawe! (Daj zaraz dwie filiżanki kawy).

Za chwilę turek nawarzył świeżej kawy i podał nam na ładnej tacy na stół.

Kasjer palił papierosy, rozglądał się po magazynie, i sam przyznał mi rację.

— Tak! Wy choć nie płacicie bezpośrednich podatków miejskich, ale i tak ponosicie dużo opłat pośrednich, kupując różne wyroby tutejsze i dając zarobek mieszkańcom miejscowym.

Pożegnał się grzecznie, zabrał swoje manatki, sapiąc wyszedł pomału i nie pokazał się już więcej.

W niedzielę, 6 listopada 1887 r. było słonecznie i ciepło, więc zaraz po pierwszem śniadaniu wybraliśmy się z Ma p eszo do Stambułu. Tym razem wprost przez drugi czyli stary most łyżwowy, długi 600 metrów, położony między małym portem handlowym a portem wojennym, od brzegu Galaty do dzielnicy Un Kapan Stambułu. Z miejscowej przystani parowców Złotego Rogu, przez główną ulicę Un Kapan doszliśmy do końca spadzistej ulicy Zerek-Jokussu, z której widać już wspaniałe arkady starego wodociągu cesarza Valensa, piętrzące się ponad domostwami.

Konstantynopol zaopatrują w wodę dwie wielkie gałęzie wodociągów biegnące od wzgórz Czarnomorskich ze źródeł lasu Belgradzkiego. Jedna cała podziemna, zaopatruje dzielnice miasta położone na północ od Złotego Rogu, druga leżąca po jego stronie południowej. Ta druga w paru punktach gdzie przebywa większe doliny posiada akwedukty arkadowe. W dolinie Kiahathane-Su i Alibej-Su akwedukty cesarza Justynjana, w Stambule akwedukt cesarza Valensa. Cesarz Konstantyn Wielki doprowadził wodociąg główny śródmieścia do czwartego wzgórza, na którem obecnie stoi meczet Mehmedje. Cesarz Valens przez dolinę dzielącą wzgórze czwarte od trzeciego dobudował w r. 378 olbrzymi akwedukt arkadowy ciągniący się niemal do Seraskeratu, i zaopatrujący w wodę całą wschodnią część stolicy. Akwedukt Valensa długi 625 metrów składa się z dwóch pięter arkad z ciosowego kamienia, wspartych na kilkudziesięciu olbrzymich słupach, w odstępach po 10 metrów jeden od drugiego. Kolos ten, pomimo kilkakrotnych reparacyj gruntownych, znajduje się w dość lichym stanie. Zczerniałe i omszałe

mury oplatają zielone bluszcze, a tu i owdzie ze szczelin sączy się woda, niby wielkie łzy żalu nad smutnem zaniedbaniem. W cieniu sąsiednich murów, na płaskim bloku ciosowym spoczęliśmy dłużej. Przechodzący juzundżi zaopatrzył nas w winogrona, a kawiarz wędrowny podał nam dwie filiżanki kawy gorącej. Po wypoczynku udaliśmy się ulicą Teriakdżilar, ciągnącą się równolegle od akweduktu, do olbrzymiego meczetu Mehmedje, który wieńczy czwarte wzgórze stolicy i panuje nad całym Stambułem.

Mehmedje, czyli meczet sułtana Mahometa Zdobywcy, zbudowany został w r. 1469 w szesnaście lat po zdobyciu Konstantynopola według planów architekta greckiego Christodulosa na ruinach starego kościoła Świętych Apostołów fundacji cesarza Konstantyna Wielkiego. W podziemiach owego kościoła mieściły się groby cesarzów bizantyńskich. Nie zostało z nich ani śladu, równie jak z całego kościoła, którego gruzy posłużyły za materjał do budowy meczetu. Ten w trzysta lat póżniej w r. 1768 zrujnowany przez trzęsienie ziemi, odbudowany został przez sułtana Mustafę III-go. Kolosalny ów meczet odznacza się nietyle architekturą stylową ile raczej swym ogromem. Zdaleka już widać jego wspaniałe kopuły i dwa wysmukłe minarety wysokie 80 metrów. Do głównej kopuły środkowej przylega cztery półkopuły pod któremi wielkie nawy tworzą krzyż grecki równoramienny. Rozległy dziedziniec meczetu otacza po obu stronach szereg gmachów czworobocznych, w których się mieszczą: szkoły duchowne medresse, imarety, szpitale, łażnie, internaty studentów, wielki han czyli hotel dla podróżnych i t. p. Główny portyk meczetu zdobią wspaniałe kolumny z granitu i marmuru. Wejście i drzwi w stylu arabskim, prowadzą do olbrzymiego wnętrza z czterema filarami na których wspiera się kopuła środkowa. Naprawo od wejścia wmurowana tablica marmurowa w obramowaniu z turkusów z napisem literami złotemi proroctwa Mahometa: „Zdobędą Konstantynopol. Szczęśliwy władca, szczęśliwe wojsko, które to dokona". Po stronie wschodniej meczetu rozciąga się ogród, wpośrodku którego w grobowcu o dwóch rzędach okien zakratowanych, pod małą kopułą w bogatym sarkofagu leżą zwłoki zmarłego w r. 1481 Mahometa Zdobywcy. Dziś jego nędzny kościotrup oczodołami czarnemi patrzy na upadek jego mocarstwa i wygnanie turkówmongołów za Bosfor.....

Po dłuższym wypoczynku w cieniu cyprysów ogrodu Mehmedje i spożyciu naszego popasu wstąpiliśmy do sąsiedniej kawiarni tureckiej na czarną kawę. Szeroką czystą ulicą główną dzielnicy Kara Gomruk, pomiędzy domami o wykuszach z kratkami, zaszliśmy na pobliskie piąte wzgórze Stambułu, na którem piętrzy się wielki meczet Selimje. Zbudował go w r. 1520 sułtan Sulejman na cześć swego ojca Selima I-go. Czworoboczny gmach wieńczy lekką kopułą z szeregiem okien u swej

podstawy i dwa wysmukłe minarety. Rozległy dziedziniec od strony zachodniej zdobi portyk z piękną kolumnadą. W meczecie mieści się stary księgozbiór współczesny z XVI wieku. Z tarasów otaczających meczet przepyszny widok na cały Złoty Róg i przedmieścia północne Konstantynopola oblane purpurą zachodu słońca. Przed zmrokiem jeszcze, nie tracąc czasu, pospieszyliśmy do pobliskiej przystani morskiej patriarchatu greckiego Fanaru. Ostatnim parowcem wieczornym wróciliśmy na bulwar Galaty, a koleją podziemną Tunelu do domu.

W lecie i przez całą jesień, która na Bałkanach i nad Bosforem ciągnie się długo pogodna i ciepła prawie do połowy stycznia, obfitość wszelkiego rodzaju owoców jest tu przebogata. Roznoszą je ciągle ze składów i targów przekupnie w koszach po najdalszych zaułkach i przedmieściach z głośnem wołaniem. Winogrona mianowicie są tu przewyborne: wielkie soczyste „Czausze" i małe słodkie bez pestek „Smirna" z Azji mniejszej. Pomarańcze różnego gatunku greckie, włoskie, i t. zw. „Jaffa" z Palestyny duże słodkie, oraz mandarynki. Figi krajowe dwojakie: ciemne słodkie jak miód, oraz zielone bardzo soczyste jadalne ze skórką miękką i delikatną. Przeróżne gruszki bery szare i złote, rodzaj krajowych duan i diuszes. Jabłka kwaskowe i słodkie, między któremi prym trzyma gatunek „Amasja" kruchy, soczysty winnosłodki. Wreszcie świeże banany, orzechy kokosowe, włoskie i tureckie. Zapasów zimowych w domu niepotrzeba tu robić, bo codzień aż do wiosny można mieć świeży owoc wyborny.

Od Wydawnictwa „Pamiętników S. J. Czarnowskiego"

w Kielcach, ulica Hipoteczna 30.

Wyszły z druku:

Tom I Pamiętników, obejmujący zeszyty 1—6	zł	1.50
Tom II Pamiętników, obejmujący zeszyty 7—12	zł.	1.50
Tom III Pamiętników, obejmujacy zeszyty 13—18	zł	3.00
Zeszyt 19. Z Warszawy do Konstantynopola (1866 r.)	gr.	30
Zeszyt 20. Konstantynopol i jego życie (1886—1887)	gr.	30
Zeszyt 21. Konstantynopol. Wycieczki po mieście i okolicach (r. 1887)	gr.	30
Zeszyt 22. Konstantynopol i wybrzeża Bosforu	gr.	30
Zeszyt 23. Stambuł i morze Marmara (1887 r.)	gr.	60
Album portretów. Serja I-sza	zł.	6.00
Album portretów. Serja II-ga	zł.	6.00
Album portretów i widoków. Serja III-cia	zł.	6.00

Pod prasą dalsze części:

XII. Powrót z Carogrodu do Warszawy (1890—1893).

XIII. Pobyt w Miechowie i Ojcowie (1893 — 1917), wielka wojna europejska.

XIV. Pobyt w Kielcach (1917 — 1923 r.), oswobodzenie i niepodległość Polski.

XV. Zakończenie. Marzenia niespełnione.
